Po konfiskacie nakład drugi.

ŻYCIE

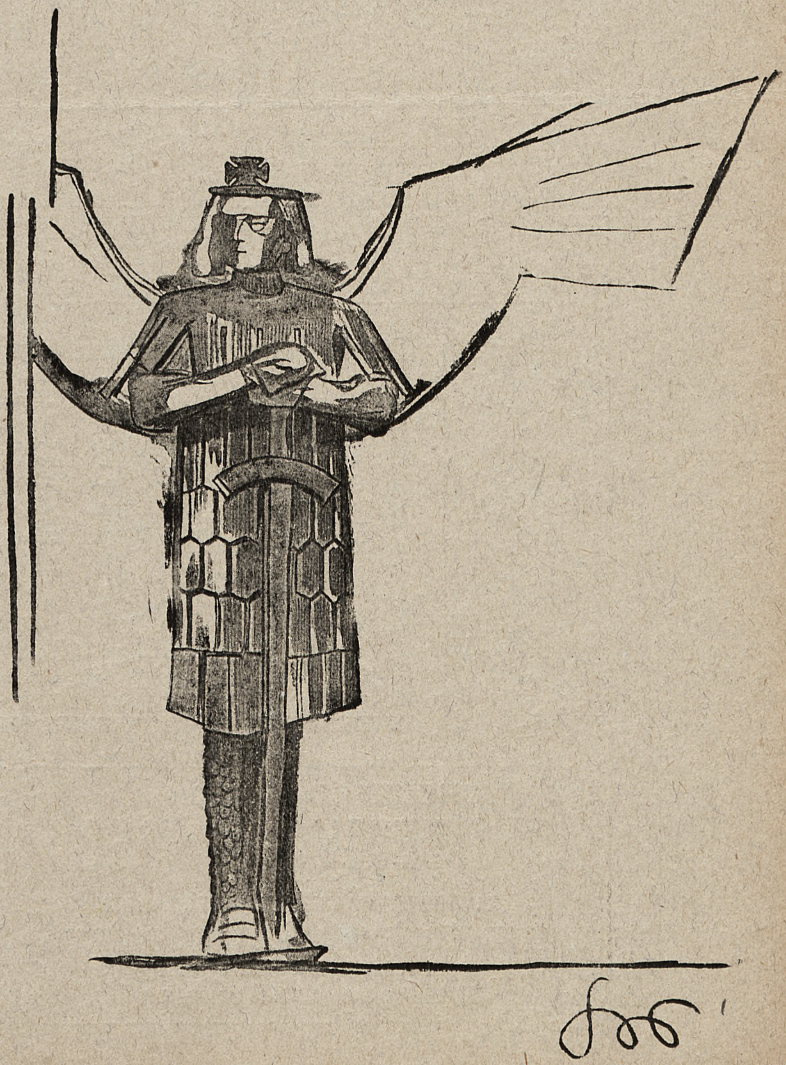
ROCZNIK II. ZESZYT VI.

DNIA 4. LUTEGO 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
:: ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A. ::

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“. :: WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE) ::





ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

WALKA O NARODOWĄ WŁASNOŚĆ.

Od kilku tygodni smutnie głośną w całej prasie polskiej staje się sprawa Rapperswilu. Skandaliczny fakt usunięcia z Muzeum zasłużonego i wybitnego bibliotekarza oraz niemniej skandaliczny projekt przepołowienia zbiorów dopełniły miary tego, o czem dotąd po cichu tylko, z ust do ust, dowiadywała się opinia publiczna, a co obecnie w całej pełni się obnaża, jako Skandal rapperswilski. Bo to już taka jest nasza poczciwa publicznych spraw i sprawek metoda: najpierw, kiedy zło rośnie, hoduje się jego rozkrzewianie, a poczucie odpowiedzialności zadowala szeptaniem li tylko po kątach. A kiedy zło już dojrzało i owoc zatruł wszystkie nowe pędy, tedy dopiero robi się krzyk. A czego już u nas zupełnie niema, to żeby wciąż i wytrwale, i bez ustanku pilnowano służby publicznej i publicznej sprawy.

Tamtym natomiast, poczciwie naszym sposobem, skandal rapperswilski tlił się spokojnie w łonie Rady zarządzającej przez całe lat szeregi, aż dopiero wybuchnął płomieniem. I oto teraz mamy go. Cóż z nim zrobić?

Zdradzimy publiczną już pewnie tajemnicę, iż przed podniesieniem sprawy próbowano wszelkich środków dla wyjaśnienia, załatwienia i rozwiązania sprawy wewnątrz Rady lub przez jej poszczególnych członków. Ale u steru tej instytucyi stoją ludzie nieodpowiedzialni, od których wszelkie protesty i prośby, skargi i ostrzeżenia odbijały się niczem groch o ścianę. Panowie Gałęzowski i Laskowski, Gasztowt, Korytko i Rubach stanowili zespół w tej sprawie tak zgrany, iż żadnego dysonansu do tego towarzystwa wzajemnej adoracyi, w łonie instytucyi narodowej będącego, niepodobna było wprowadzić. O innych radcach, o krajowych figurantach rapperswilskiej szopki, i o ich odpowiedzialności pomówimy może kiedyindziej. Tamci natomiast rządzili, a jakim był zmysł rządzenia, jaką metoda i jak bezdenną, wprost fantastyczną nieudolność, nieuctwo i bezład, o tem świadczyły dawane odpowiedzi: czy komisyi naukowej nie stworzyć? — my takiego mamy kustosza, że za wszystkie komisye wystarczy; czy czego nie zreformować, nie naprawić? — o na-

prawie tylko zła wola mówić może; zamknęliście bibliotekę, zagrożone jest istnienie zbiorów! — bibliotekę właśnie i zamknęliśmy, a w płonącym domu siedzieć trzeba i czekać, a nie wyskakiwać i krzyczeć, że się pali. Te były autentyczne augurów orzeczenia. Ból ściska serce i wstyd lica pali: bo zdawałoby się, że chyba w ośmnastowieczu i w augustowej w Polsce, śród gnijącego rozkładu i bezecności panowania taką o rzeczy publicznej mowę słyszymy.

Gdy nie pomogły ostrzeżenia, gdy pierwsze głosy prasy i opinii już się podniosły, a jeszcze radcowie na nic więcej się zdobyć nie umieli, jeno na zamknięcie biblioteki i na gwałtowne kroki ku jej pozbyciu się zmierzone, nie pozostaje ludziom dobrej względem Rapperswilu woli nic innego, jak tylko ogłaszać dokumenty rapperswilskiej niesławy. Może nareszcie w kimś zadrga sumienie.

Warszawski Goniec rozpoczął już ogłaszanie materyału dowodowego pierwszorzędnej wagi o gospodarce rapperswilskiej. Publikacya ta, przerwana obecnie, lecz na ile sądzić możemy, tylko chwilowo, przytoczyła już coś nie coś z memoryału doktora Henryka Dobrzyckiego, prezesa warszawskiego Towarzystwa Muzycznego o stanie Rapperswilu przed laty 15-u. W niniejszym numerze naszego pisma rozpoczynamy druk głównej części tego memoryału in extenso. Odsłania on prosto i wyraziście stan muzeum i jego zbiorów przed laty piętnastu.

A odtąd? a dzisiaj?

Niedość tego, iż nic się nie zmieniło na lepiej, a zaś bardzo wiele na gorzej.

Mamy do zanotowania, na podstawie źródłowej publikacyi Gońca oraz innych równie nieposzlakowanych źródeł, następując fakty:

1) W Muzeum Narodowem w Rapperswilu zniszczono bezcenny zbiór wycinków z gazet francuskich o Polsce, od 1829 po 1876 rok prowadzony, porządkowany i skatalogowany przez nieocenionego zbieracza, Leonarda Chodźkę:

2) W Muzeum Narodowem w Rapperswilu ginęły unikaty druki staropolskie, stracone zostały dokumenty wielkiej wagi, niemiłosiernie niszczone rzeczy starożytne i dzieła wysokiego artyzmu, i niemiłosiernie fabrykowane na ich miejsce falsyfikaty, których hurtownym wyrobem trudnił się zarząd Muzeum.

3) W Muzeum Narodowem w Rapperswilu dokonywała się systematyczna kradzież biletów wejściowych, której to kradzieży wykrycie pociągnęło za sobą usunięcie tylko tego urzędnika, który je wykrył.

4) W Muzeum Narodowem polskiem w Rapperswilu postąpiono niegodnie z jednym z pierwszych ludzi w Polsce, ze Stefanem Żeromskim, uniemożliwiając prowadzenie owocnych prac jego, knując przeciw niemu intrygi za pomocą przejmowania listów prywatnych, wreszcie, długi czas po jego ustąpieniu i aż po dziś dzień czerniąc jego imię w sposób potwarczy i nikczemny.

Faktów na tymczasem dosyć. Od lat piętnastu trwa skandal na zamku w Rapperswilu w polskiem Muzeum Narodowem — i czas, aby się ten skandal skończył.

Niepodobna pozwolić na to, aby ofiarą gospodarki muzealnej padł jeden tylko człowiek, ów niefortunny muzealny stróż, o którym niebo, los — no i nieszczęście w postaci Rady muzealnej chciały, aby przez lat dziesiątki był muzealnym kustoszem i dyrektorem de facto. Nie! Opinia publiczna ma prawo domagać się pociągnięcia do odpowiedzialności tych, których obowiązkiem było pilnowanie narodowego dobytku: Radę Muzealną Rapperswilu. Oni ścierpieli, że przez lat 15 trwały i pogarszały się porządki muzealne opisane przez Dobrzyckiego. Oni byli świadkami wymienionych przez nas faktów, rapperswilskiego bagna brudem są zwalani i za nie odpowiadać muszą.

Niema ani pobłażania, ani wyrozumienia, ani litości w sprawach publicznego obowiązku. Jest tylko jedna droga w tej mierze: obowiązku takowego sumienne spełnianie. Na podstawie zakomunikowanego tu materyału musimy postępowanie Rady Muzealnej w Rapperswilu nazwać niesumiennem, nieuczciwem, karygodnem.

Piszemy te słowa w pełnem poczuciu odpowiedzialności prawnej; istotnie, nie widzimy innego wyjścia z tej ciemnej sprawy, jak wyświetlenie jej publiczne przez miarodajny sąd. Czekamy więc zareagowania na powyższe zarzuty. Czas bowiem, aby się skandal skończył.

Artykuł nasz nie nosi podpisu, bo wyobraża myśl kolektywną i kolektywna odpowiedzialność pisma aż do chwili wytoczenia sprawy zdaniem naszem wystarcza.

BOGUSŁAW BUTRYMOWICZ.

STORNELLE.

I. Dzwony.

...Dzwony Tęsknoty!
Na sen mi wieczny dzwońcie w uwieńczonej
liliami trumnie, promieniście złotej,
Tęsknoty dzwony!
bom syt Wesela życia i Zgryzoty.
i tylko Ciszy łaknę niezmąconej.
Na spanie — cicho
dzwoń mi Tęsknoto, i zmartwychniewstanie
w szacie, co-m zbrukał ją i rzucam lichą;
na ciche spanie
z wiedzą, żem Niczem był, choć chciałem
[z pychą
wyróść największą falą w Oceanie!..

II. Serafika.

Tobie kwiatuszki,
rwane na łąkach, o miesięcznej dobie,
palcami Smutku i Tęsknicy-wróżki:
kwiatuszki tobie
wonne pod białe, święte rzucam nóżki,
JA — duch, klęczący na Twym świeżym
[grobie.
Pod białoświęte
stopy, co wiodą duszy Twojej ciało
w bramy, księżyca kluczom odemknięte,
pod święte białą
światłością stropy Milczeń, gdzie swą piętę
piór seraficznych rozeskrzydlisz Chwałą...

III.

Hosanna! — śpiewa
gwiazd promieniami pluszcząca fontanna
i ptak błękitny z Wyzwolenia drzewa
śpiewa — Hosanna!..
Wyjętą perłę w dal wniosła mewa:
na brzegu leży pusta muszla szklanna...
O, moja Święta!
Niegdyś, jak kwiaty chorego powoja,
wokół mej szyi kwitły twe rączęta —
O, Święta moja
jedną mi falę, co jeszcze pamięta
Sen Życia, poślij z świetlistego zdroja!

IV. Sen Życia.

Fantomy szału,
wytryskujące, jak światła załomy,
z wnętrza czarnego, Tęsknoty kryształu:
szału fantomy!
karmię Przesytu rzucające ciału,
a dusz głodowi garść płonącej... słomy...
Ekstazy chwile,
prześnionej dawno, a gdyby obrazy
stare, na Wspomnień jawiące się pyle!
Chwile ekstazy
wonne, upojne: jak trucizn nargile
obłędem krwawe dusz pieścicie skazy!..

V.

Śnie Życia! ciebie
Szczęściem zwą nędzni, rojąc od powicia
o twoim wonnym, ambrozyjskim chlebie:
ciebie, Śnie Życia,
który ócz jasność w tumanach mgły grzebie
i gna na oślep ku skałom rozbicia!
Narzędzie kary
męczarne — w puchy dziwne łabędzie...
aż srebrne stawy zmienią się w... moczary —
Kary narzędzie:
Śnie Życia: żmijo biała w piersi starej,
której Kres pisze śmiertelne orędzie!...

Kraków, styczeń 1911

MARYAN DĄBROWSKI.

OBRAZKI Z BELGII.

Bruksela 22 stycznia.

Rocznica. Stają przed oczy obrazy z opowiadań rodziców i krewnych. Rysują się szare świtki—żałobne postaci na tle kościołów, krzyżów-szubienic, lasów i śnieżnej, stężałą krwią gdzieniegdzie zakwitłej, równiny nadwiślańskiej.

Przesłania je, ściemnia, gasi, zaciera wspomnienie walk niedawnych, niespełna przed laty 6-iu.

„U nas tak zawsze bywało, że jedni umieli jeno umierać, drudzy jeno uciekać, lecz walczyć nie umiał nikt“, mówi pułkownik z „Mogiłki“ Struga.

Wszyscy po wszystkie czasy na obcą pomoc liczyli u nas. „Jegomość król pruski“, republika francuska, interwencya mocarstw, interwencya ludów, wreszcie „proletaryat wszechrosyjski“ — oto etapy polskiej bezsiły, niemocy polskiej i polskiej niewoli.

I niech nam nie mówią, że mieliśmy przeciw sobie potęgi trzech państw zaborczych, więc „interwencya“ była tu koniecznem rozcięciem węzła gordyjskiego, który sami, jak garotę na szyi narodowej zaciskaliśmy i zaciskamy.

* * *

„W Belgii iskierka narodowości prawie niedostrzegalna w wielkich ruchach rodziny europejskiej wystarczyła do zburzenia gmachu, zbudowanego i podtrzymywanego przez w s z y s t k i e w i e l k i e m o c a r s t w a e u r o p e j s k i e, chociaż w tym gmachu była mądra administracya i największa panowała pomyślność materyalna.“*)

„Naród belgijski wykazał olbrzymie postępy w dziedzinie sztuki i przemysłu, we wszystkich gałęziach działalności ludzkiej w państwie współczesnem. Honor to nielada dla ludu belgijskiego, który równocześnie zdobył dla siebie wolną duszę i uczucia narodowości. Wszystkie ludy świata schylają przed ludem belgijskim z szacunkiem swą głowę.“**)

* * *

„Wolne ludy Europy nie chcą słyszeć o nas, nie chcą nas znać... Grzebią nas nie tylko ludy, które żywią się ciałem naszej ojczyzny, grzebią nas ludy, którym niedawno jeszcze nieśliśmy dobrowolnie naszą krew i naszą ofiarność.“***)

Dnia 7 marca 1832 roku pierwszy król Belgii Niepodległej pisał do swego ambasadora w Paryżu, hr. Le Hou:

„Staraj się pan zawrzeć znajomość z wybitnymi Polakami i dowiedz się pan, na ilu oficerów i żołnierzy Polaków liczyć można... Położenie nasze nakazuje myśleć o wyzyskaniu możliwych środków obrony.“****)

Mieliśmy utworzyć w Belgii legion polski. Po co?

Pan Le Hou w odpowiedzi przesyła królowi kilka uwag o tem, iż utworzenie legionu polskiego wywołałoby powszechny entuzyazm w kraju i zagranicą. Ale car Mikołaj I wysłał właśnie hr. Orłowa do Hagi, by ten przyspieszył decyzyę króla holenderskiego w sprawie przyznania praw Niepodległej Belgii...

Jeno wówczas, gdy hr. Orłow poniesie dyplomatyczną porażkę w Hadze, sprawę, dziś już ubitą, można ogłosić jawnie: legion polski formuje się w Belgii.*)

* * *

I tak zawsze bywało. Straszakiem jeno, groźbą, u n f a n t ô m e p o l o n a i s, „komplikacyami“ w ostatnim zatargu austryacko-serbskim — a więc lokajem, pachołkiem dyplomacyi europejskiej byliśmy dotąd.

* * *

W papierach Polskiego Rządu Narodowego czytamy taki oto list hr. Walewskiego: J e v i e n s d e v o i r u n e l e t t r e d e T a l l e y r a n d é c r i t e à u n e P o l o n a i s e l e 13 a v r i l. I l y d i t, n o u s n e c o m m e n c e r o n s à t r a v a i l l e r p o u r l a P o l o g n e q u e q u a n d l a q u e s t i o n d e l a B e l g i q u e s e r a d e c i d é e.**)

* * *

Jest coś tragicznego w historyi powstań naszych. Ten zupełny brak świadomości narodowej, te zdrady potworne i równe im błędy wojskowe.

Gdy stolice Europy całej znają walkę barykadową, walkę ulicy, Warszawa—Kraków—Lwów — jeno modlitwy patryotyczne po kościołach, modlitwy na placach publicznych, rzezie i masakry znają.

I jedną z największych, najuroczystszych była tamta modlitwa tłumów przed pałacem królewskim, tuż o krok od Zjazdu, od ciemnych, krętych uliczek Starego Miasta Warszawy, gdzie walczyć było można ongi tygodniami całymi, a gdzie dziś kilku zdecydowanych bojowców cudów dokazać może.

My w Polsce całej znamy jeno „marsze i kontrmarsze“ w lasach styczniowego powstania...

Oh, kiedyż spełni się płomienna wizya Słowackiego:

„Co nam zdrady...
Więc lada dzień, a nędza sprężyny dociśnie,
To naprzód tam, na rynku, para oczu błyśnie
I spojrzy w Świętojańską na przestrzał ulicę;
A potem s ę poruszą wszystk e kamienice,
A za kamienicami przez niebios otchłanie,
Przyjdzie zorza północna i nad miastem stanie,
A za zorzą wiatr, dziwne m otający blaski,
Porwie te w zystkie zemsty i te wszystkie wrzaski.
Wicher jakiś, z aniołów urobiony Pańskich,
Oder any, jak skrzydło, z widzeń Świętojańskich,
Przeźroczysty, jak brylant, a jak ogień, złoty,
Który chwyci te zemsty, te światła, te grzmoty —
Zwinie — i niemi ciemną uliczkę założe,
Jako bronz, w niej zakipi, zaświszcze, jak węże,
I naprze tak, że będzie, trzęsąca się cała,
Jak wół sycylijski, na miasto ryczała.

Usłyszycie wy wtenczas, serc naszych złodzieje.
Jaki wiatr z tej ulicy na miasto powieje!“

Usłyszał swego czasu Nolken ten wiatr...

*) Bolesław Limanowski „Stanisław Worcell“; wyjątek z Pisma „L e P o l o n a i s“ Paris 1834.

**) Palmerston: Mowa, wygłoszona w Izbie Gmin 25 czerwca 1850 roku.

***) Wacław Sieroszewski: Mowa w Paryżu.

****) Les Fondateurs de la Monarchie Belge: L e C o m t e L e H o u., d'après les documents inédits par Théodore Juste. Bruxelles. C. Muquarat — Librairie Européenne. 1867.

*) Ibidem.

**) Biblioteka Czartoryskich: poszukiwania Dra Michała Sokolnickiego.

A cytadela? A cytadela warszawska, zionąca na miasto paszczękami armat?...

Niedawno byłem w Namur. Miasto w dolinie, na stromem wzgórzu, dziś, jeno w części zachowana, potężna cytadela. O zdobyciu jej w regularnym boju dziś jeszcze marzyć trudno. W roku 1830 była to jedna z potężniejszych fortec Europy.

„Do Rządu Tymczasowego w Brukselii 5 października 1830 roku. Raport N 3 bis

Panowie! Cytadela Namur ostatecznie w naszej władzy. Nasz sławny sztandar narodowy wywieszono wczoraj o 4-tej popołudniu na głównym forcie (Donjon). Dzwony całego miasta i 21 wystrzałów armatnich powitały sztandar. Entuzyazm obywateli przechodzi opis wszelki. Chcieli wszyscy biec do wnętrza cytadeli, zdobytej szaloną ich odwagą. Dałem im poznać, że czynić tego nie należy ze względu na olbrzymie zapasy prochu, znajdujące się jeszcze w rękach wroga. Zebrali się tedy jeno przy wejściu głównem do fortecy.

Zamknęliśmy je natychmiast, skoro 500 ludzi gwardyi obywatelskiej, mając w awangardzie 12 ludzi, *wziętych z oddziału robotników, który najheroiczniej bił się z wrogami w pamiętny dzień 1 października*, weszło do fortecy.

Z oddziału tego, by nie urazić niczyjej miłości własnej, wybrałem: 4 lekko rannych, 4 najstarszych i 4 najmłodszych wiekiem powstańców.

Rodzaj deputacyi tworzyło 2 obywateli Namuru, którzy świeżo przybyli po walkach z Brukseli, oraz *kilkunastu chłopów* z liczby tych, co na pierwszy odgłos walki w Namur, pospieszyli nam na pomoc z Gembloux, z Ardenów i z innych miejscowości.

Garnizon holenderski opuścił fortecę po 4-tej popołudniu i udał się w kierunku Antwerpii przez Gembloux, Wavre...

Forteca posiada olbrzymie zapasy wojenne. Natychmiast po zrobieniu inwentarza zawiadomię Was o stanie rzeczy. Mam zaszczyt przesłać wyrazy hołdu i oddania się Wam

Baron de Stassart.“ *)

* * *

„W wigilię rozpoczęcia wiekopomnej walki o Niepodległość Bruxeli, w nocy z 22 na 23 wrzesień“, pisze jenerał Renard (ochotnik z Tournai), „nie mieliśmy więcej nad 40 uzbrojonych wartowników, którzy straż trzymali przy barykadach. W sumie, zaledwie 300 ludzi doliczyć się było można zdatnych do boju i chętnych do wydania śmiertelnego boju wrogowi.

Byliśmy rozproszeni na wielkiej przestrzeni murów miasta, o 5 bramach, przez które wróg nadchodził. Nie było naczelników, rządu, planu, wytycznych...“

* * *

Lecz była świadomość powszechna krzywd jakie od lat 15 Wilhelm Orański wyrządzał życiu społeczno-narodowemu Belgii...

Lecz było więcej czynów bojowych, umiejętności walki; było więcej wiary w moc człowieka, niż w pomoc boską i „rządów“.

Mniej było u Belgów „poezyi“, mniej „literatury“, mniej przyrzeczeń, klątw i gróźb, a nadewszystko mniej było roztkliwiających się własnym losem męczeństwa modlitw narodowych.

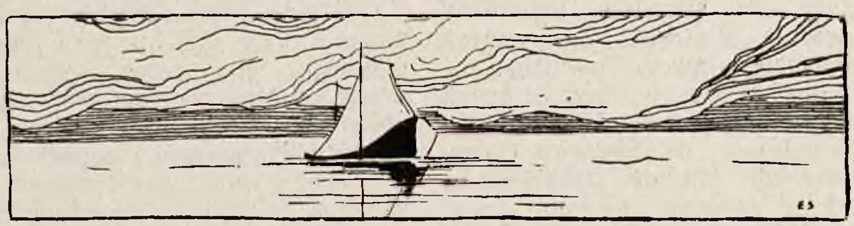
Ci ludzie modlili się na barykadach modlitwą błysków płomiennych, ciosów ostrych... I Bóg ich wysłuchał.

* * *

Modlitwo czynu polskiego, jakże cię nam brak!...

---

*) „Papiery Rządu Tymczasowego“, Archiwum Państwowe w Brukseli.



G. DANIŁOWSKI.

MARYA MAGDALENA.

(Fragmenty powieści apokryficznej).

Wśród posępnych, jakby zniszczonych pożarem i od wygorzałości płonnych okolic Jerozolimy osłaniająca ją od wschodu góra Oliwna wraz z doliną Kedron stanowiła błogosławiony wyjątek.

Spadzisty ukos głębokiego jaru, jako bezpośrednio przytykający do murów, był jeszcze pełen śmiecia i krzykliwej wrzawy ruchliwego miasta, ale za płynącym na dnie kotliny potokiem, który nazywał się Zimowym, gdyż w czas letniej suszy ledwie się sączył, słała się murawa, a o kilka stajań wabił oko zaciszny ogród imieniem Getsemane.

Za nim dźwigała się przysłonięta drżącym błękitnawym pyłem wyniosła góra Oliwna, odziana żywą zielenią. W kępach drzew mocno błyszczały małe domki i osiedla nie większe od jasnych złomów kamienia widnych w urwach i na wapowcach. Po łagodniejszych stokach słały się rozpięte winnice i plantacye drzew figowych, nad któremi rysowały się ostrokontury smukłych pinii i samotnych, strzelistych cyprysów. Białe ścieżki jak sieć splątanych sznurów, wiły się po całem zboczu, a wyżyną migały się skrzydła słodkich

synogarlic i stada szybujących gołębi, które zapadały nagle w potężne konary pyszniącego się na szczycie cedru, ilekroć ukazywał się pławiący się pod słońcem rdzawy cień.

W wibrujących jakby od ciągłego powiewu trawach i zbożach pachniały białe i niebieskie hyzopy, mięta, czomber, szafran, roztwierały purpurowe kielichy lotusy a po sianokosach zakwitał koński szczaw, wysoka ruta i cieliste róże Saronu.

Zachodnie zbocze, jako że mniej tu dopiekało słońce, jeszcze było bujniejsze i więcej rozkoszne, i tu właśnie znajdowała się uchodząca za najbardziej uroczą miejscowość wioska Betania.

Z wysokiego jej położenia rozciągał się szeroki widok ku krętym wybrzeżom Jordanu, ku sinym skałom dalekiej Perei, ku srogiej pustoszy Martwego. Morza i majaczącym łańcuchom gór Moabu.

Sama wioska, otoczona wiankiem buków i platanów składała się z kilkunastu skromnych sadyb, wśród których wyróżniał się stojący na ustroniu z ciosanego kamienia budynek z drewnianą galeryą na wysokości pierwszego piętra, wsparty wedle zwyczaju ludzi zamożnych na siedmiu rzezanych foremnie słupach z cedrowego drzewa.

Dziedziniec wraz z ogrodem był obwiedziony murem z gruzu, przez który przelewały się obficie pięte róże, kozoliść, bluszcze i inne wiciokrzewy. Z wyglądu domostwa jak i całego obejścia znać było dostatek i ochędóstwo: cysterna stojąca na środku podwórza była przykryta taflami gładzonego kamienia, ścieżki wysypane żwirem, a sierść pasącego się na majdanie myszatego osiołka, lśniła jak jedwab.

Ogród nieduży ale starannie utrzymany składał się przeważnie z oliwek, fig, złotych morw, kwietnika i małej winnicy. Prawdziwą zaś jego ozdobą był dość rzadki w tych stronach orzech terebindowy i olbrzymia, cienista magnolia.

Posiadłość ta należała do Szymona przezwiskiem Trędowaty, ale obecnie dzierżawił ją Łazarz, który wraz z dwiema siostrami przywędrował z nad brzegów jeziora Gennezar, z miasteczka Magdali.

Ciężko było niezmiernie Łazarzowi ruszyć się z rozkosznej Galilei, ale dotkliwe przykrości, których pomimo listu rozwodnego nie mógł uniknąć ze strony żony i krewnych, stały się tak nieznośne, że w myśl wersetu „lepiej mieszkać w ziemi pustej, niż z niewiastą gniewliwą i swarliwą" z cudownego zdroistego kraju przeniósł się do bezwodnej Judei i osiedlił się na górze Oliwnej, choć w części przypominającej świeżość i żyzność rodzinnych pieleszy.

Był to krok niezwykłej energii ze strony człowieka, który był urodzonym niedołęgą, samotnikiem i niezdolnym do realnego życia abnegatem, zatopionym w obłokach mętnych, nieokreślonych marzeń, w błędnej zadumie o zaświatach, w głuchej jakiejś tęsknocie za minionemi czasami bezpośrednich obcowań z Wiekuistym świetnych królów i żarliwych proroków wybranego ludu.

Wątły, chory na płuca, zapadający nieraz w chwilowe śmiertelne omdlenia, Łazarz był tylko formalnie głową domu, właściwe zaś rządy sprawowała zapobiegliwa i gospodarna Marta, która zrywała się w zarań i mocno podpasawszy biodra do gwiazdy wieczornicy krzepko poruszała ramiona, nie szczędząc też głosu, który rozbrzmiewał po całej sadybie dając znak służbie, że pani jest w pobliżu.

W pracy tej, której chwilami oddawała się z furyą, Marta znajdowała ujście dla bujnych sił życiowych oraz ucieczkę od ciężkiej troski o schorzałego brata i zabobonnych przerażeń z powodu młodszej siostry Maryi Magdaleny, żyjącej jak w szale.

Nie darmo matce Maryi, gdy z nią chodziła, wyśniło się przed zlężeniem, że zrodzi wiatr zmieszany z ogniem — córka od lat najmłodszych zaczęła sprawdzać ten wieszczy sen. Żywa, jak płomień, wrażliwa, niezwykle ujmująca i rezolutna w dzieciństwie była głośną radością i jasnem światłem dla otoczenia, ale w miarę jak się jęły rozwijać pąki jej piersi, ciasno jej się stawało w domu, niewygodnie i duszno na wązkiej macie dziewiczej sypialni — coś ją rwało na łąki, na wody, wzgórza, gaje, na wolne przestworza, gdzie się z pasterzami oddawała zrazu swawoli, zdradliwym gonitwom, a potem kradzionym pocałunkom, mimolotnym pieszczotom, od których rozkwitała jej uroda i zaogniała krew.

Nierozrosła jeszcze w biodrach zdążyła zyskać miano niesromieźliwej wietrznicy, a wkrótce poczęto szeptać, iż jest w panieństwie naruszona, przyczem też odżyła plotka uwłaczająca pamięci niedawno zmarłej matki, iż piękny kupiec grecki, który bawił przed laty w Magdali, nie napróżno odjeżdżając hojnie obdarował całą rodzinę Łazarzów i zostawił cenną kameę z magicznym napisem oraz całą sztukę wzorzystej materyi dla spodziewanego potomka, którym stała się Marya.

Istotnie przez subtelny, regularny nosek i różowe, drobne konchy uszu Marya odbijała od ogólnego typu, przez bogate, złoto-czerwone włosy od typu rodziny, która była krucza. Jedynie ciemne, podłużne w godzinach spokoju, jakby senne, wilgotne oczy i pewna rozkoszna leniwość w ruchach, właściwa słynącym z piękności niewiastom galilejskim, przypominała matkę.

Pomimo złą sławę Marya cieszyła się sympatyą ziomków. Kształtna, biała, jakby z mleka wyjęta, we wzruszeniu różowa, gdyby zorza zaranna, o purpurowych, rozchylonych jak pęknięty owoc granatu ustach, wprost zdumiewała swą krasą nieodpartą, rozbrajała wdziękiem perłowego uśmiechu, ujmowała długiemi rzęsami i powłóczystem spojrzeniem najbardziej surowych, a żywością umysłu i płomiennym temperamentem umiała porywać i tak dalece zniewalać ku sobie prostodusznych sąsiadów rodzinnego miasteczka, że darowywali jej pustoty, odpowiadając na przygany złośliwych:

— Któż może w zanadrzu ogień nosić, a od niego się nie spalić!

Ta życzliwość wpływała na Magdalenę w sposób uśmierzający, zaczęła bardzo dbać o pozory, toteż wszystkie oskarżenia byłyy oe-ar jedynie na domysłach, a gdy wbrew przewpidt waniu nie zastąpiła brzemieniem, potwarcy umilkli, jakkolwiek oni mieli słuszność, mylili się jedynie co do osoby uwodziciela, którym nie był śniady i smukły jak trzcina młody rybak Saul, ale wiel-

kociały, brzydki, włochaty Judasz z Kerjot, obdarty włóczęga, który tułał się po całej Palestynie, docierając do brzegu obu mórz, bywał nad Nilem, chodził do Aleksandryi a nawet bawił czas pewien w dalekiej, tajemniczej Romie, groźnem siedlisku żelaznych legii Cezara.

Mowny wykrętacz, noszący w swoim wielkim, rudym czerepie chaos niepospolitych myśli a pod łataną opończą skorpiona potężnych żądz i ambitnych zamiarów, silny i bezwzględny, potrafił rozpłomienić wyobraźnię egzaltowanej dziewczyny, opanować jej myśli, rozstroić sofizmatami i młodzieńczą krew rozłechtać do tego stopnia, że upatrzywszy czasu, zmógł resztę oporu, gwałt jej uczynił i długo pod urokiem swej władzy trzymał. Wreszcie lękając się następstw znikł równie niespodzianie, jak się zjawił.

Po tym zdarzeniu Marya przygasła, wpadła jakby w zasen, w zdumione osłupienie i jakkolwiek nietyle sercem, ile rozbudzoną namiętnością przywiązała się do Judasza, duszę jej zawlókł smutek, serce rozjadała boleść zawodu.

Stan ten trwał dość długo, ale ledwie się zawściągnęła srogość serdecznej rany, rozjątrzona rozkosz wybuchła z niepohamowaną siłą. Otwarta już na roścież otchłań uciech zmysłowych pochłonęła ją całkowicie i po przeniesieniu się do Judei, Magdalena udała się na żywot przestronny i rozwiązły, zyskując w Jerozolimie szeroki rozgłos i wzięcie.

Wesołe uczty, rozpasane orgie, dochodząca do szaleństwa jawna zupełnie rozpusta uchodziły jej bezkarnie, miała bowiem możnych protektorów między innymi siostrzeńca Gamaliela, który jako najsłynniejszy w owych czasach uczony, posiadał silny wpływ na współwyznawców i stosunki u dworu. (Cdn.)

DR. KAZIMIERZ HARTLEB.

Z JAGIELLOŃSKICH WCZASÓW.

[Z powodu dzieła prof. L. Finkla.]*)

I poczynała Polska doby Jagiellońskiej a zwłaszcza od czasów Kazimierzowych, wchodzić na tory wzmożonego i odrodzonego życia. Czynniki wszelakie, składające istotę państwowego organizmu, kreślące podłoże życia społecznego, lub naród wieść mające na etapy kultury szerszej i głębszej, stawały w zmienionych formach, na nowożytną przeistoczone modłę. Trwałemi podwalinami legło mocarstwowe znamię Jagiellońskie. Schyłek quinquecenta oglądał sceptrum sławetnej rodziny na obszarach, co aż w legendarną Polskę „od morza do morza" przechodziły. Trzech narodów trony oglądały panów „z plemienia i krwie Jagiełłów". A polityka ich jednolita, prowadzona w myśl wskazań rodzinnego porozumienia jej członków, zabezpieczenia własności każdego z nich. Wspólny interes dynastyczny łączyl i kojarzył w jednocie przedstawicieli znamienitego rodu. A wielką ich pracą, idącą często od wskazań testamentu politycznego Kazimierza Jagiellończyka, misterną polityką w przejawach wzmożonej gry dyplomatycznej zawiązywanych sojuszów, przymierzy — przygotowywało „złoty wiek" ostatnich Zygmuntów. Może niejednokrotnie zacieśnią się jej ramy w narodowym zamykane kole, ale wystąpi jej samodzielność obok interesów postronnych prowadzoną w myśl wymagań przesilnej chwili.

Społeczne ugrupowanie warstw poczęło występować w widome wyniesienie „wielmożów" królestwa na miejsce w państwie naczelne. Drogą rozwoju parlamentarnego dochodziła wspomniana warstwa coraz większych znaczeń, po coraz nowe sięgając uprawnienia, utrwalone wreszcie i usankcyonowane ustawą radomską. Zmieniały się osobistości, w pomroce dziejowej zanikali reprezentanci rodów dawnych, ale w ich miejsce wchodzili nowi, by dalej prowadzić i nieść piękne przykazania przodków, wcielać w czyn zostawione tradycye

I równoległym szlakiem posuwało się życie kulturalne tylu jasnemi pisane pomnikami; a jeśli jej miarą ludzie, to piękne ich stawały szeregi. I mógł w nich niezapomniany dziejopis widzieć i odsłaniać chwałę narodu... podziwiać ich rzutkość fizyczną i umysłową.

Takiemi były czasy mające przygotować rządy obu Zygmuntów; tyle nam o nich przekazały dziejowe pomniki. I rzecz ciekawa w historyografii polskiej· o ile czasom poprzednim święcono rozważania gruntowne na szerszą skalę i miarę przedsiębrane, lub podano szereg oświetleń momentów bardziej zasadniczej natury — to czasy zygmuntowskie pozostawały w mierze znacznej nieruszane, jakby rola niewdzięczna. Urok złotych jagiellońskich czasów zdawał się jeno olśniewać, czasami nawet oślepiać — a mało za to pociągać. A praca tu iść musiała od podstaw, od pierwszych występów i wysiłków młodego adepta Korony, musiała wniknąć głęboko w podłoże rozgrywających się zdarzeń, kreśląc szerokie roztocza tak znamienitej doby dziejowej.

I wysiłkiem i nakładem pracy ogromnej ukazało się dzieło dające odpowiedź na szeregi pytań, zagadnień nierozwiązanych. Prof. Finkel, autor szeregu studyów i rozpraw z tej właśnie epoki, znawca doskonały doby jagiellońskiej, w swojej „Elekcyi Zygmunta I." wypełnił tak bardzo odczuwaną lukę. Ujmował tam nie tylko sam fakt dokonanej elekcyi, ale kreślił równocześnie politykę Jagiellońskiej rodziny, starania i dążenia przez nią podejmowane dla urzeczywistnienia z góry postawionego celu, wprowadził na widownię tych, którzy rolę odegrali sojuszników i sług ofiarnych w przeprowadzeniu

---

*) Dr. Ludwik Finkiel: Elekcya Zygmunta I. [Sprawy dynastyi Jagiellońskiej i unii polsko-litewskiej.] Kraków 1910.

podjętych planów, owych mężów znamienitych, którymi słusznie chlubiła się potomność lub gromy rzucała, czasami nieuzasadnione. I wbrew dotychczasowym poglądom, które wprowadzenie na tron trzeciego z kolei syna Kazimierza Jagiellończyka uważały za fakt dokonany gładko i bez przeszkód, w obecnem opracowaniu widzimy szereg kombinacyi politycznych, którym oddawna słano drogę szeregiem przygotowań. Dokonywające się obecnie elekcye, to jeden tylko z wybitnych etapów naszkicowanej już poprzednio polityki domu jagiellońskiego, to fakt obchodzacy wszystkich bez wyjątku jej członków. A jak dalece była rodzinna, dynastyczna, to dowód najlepszy w tem, iż brała górę nad interesem narodowym, ujętym nawet w prawne i niezłomne Statuty niedawno jeszcze stanowionej unii mielnickiej,domagającej się zgodnego obioru Polski i Litwy władcy jedynego. Obecnie chęć zabezpieczenia Zygmunta, ta sama, która go prowadziła na ks. spiskie, wyniosła na głogowskie, która dlań domagała się wielkorządztwa Prus — dziś przez tron litewski wieść miała go na królewskie podwoje. Jeszcze nie zamknęła się droga życia Aleksandra, choć liczone były dni jego, a już Zygmunt gotował sobie grunt na Litwie, już wyraźnie sięgał po mitrę wielkoksiążęcą. A w tej decydującej chwili niósł pomoc ofiarną i senior rodu Władysław: wszak i jego ojcowizny to sprawa. Na pole elekcyjnych zabiegów słał posła specyalnego w osobie hr. Karlachkyiego, aby on swój wpływ przemożny mandatem króla węg. mógł w stosownej chwili rzucić na ważącą się szalę losów. Dążność do przeprowadzenia tak szła daleko, iż na (odkrytą badaniem obecnem) oppozycyę Małopolan przeciw obiorowi Zygmunta wysunięto straszaka w postaci napadu wojew. wołoskiego na dzierżawy Rzptej.

I dopięli swego; na szeroką skalę podjęte starania opłaciły się sowicie.

Ale nie tylko sam fakt toczony tutaj zabiegów godny podniesienia, nie tylko sama arena, na której przewijały się wypadki historyczne tak doniosłego znaczenia — ale i jej aktorzy. I tutaj staje przed nami osobistość, na której barki spadała odpowiedzialność za prowadzone dzieje. Kierownik polityki Zygmuntowskiej za pierwszego lat dziesiątka, protoplasta rodziny sławetnej, czasami może i smutnej pamięci — Łaski — poddany analizie najgłębszej, do prawdy zbliżonej. A dalej: Lubrańscy, Chotczowie, Pampowscy i szeregi pomniejszego znaczenia, wreszcie ten, który współcześnie interesu budził najwięcej a dla nieznającej istotnych przyczyn i faktów potomności ściągnął gromy zdrajcy narodu, ucieleśniony w postaci „demona“ nieszczęść i pożogi wiejącej na kraj własny — Michał Gliński.

I w znakomitem dziele w całej nagości prawdy chwalącej lub karzącej stawały nam „czasy i ludzie“ potomności wydarte, czasami nawet wbrew jej woli i intencyom.

Na gruntownych kilkuletnich badaniach archiwalnych (Warszawa, Wiedeń, Królewiec, Petersburg i t. d.) oparte studya dały nam znakomity obraz współczesnej doby, stosunków polityczno-społecznych Korony i Litwy, ustosunkowanie się do adepta korony wspomnianych krain. Nakreślił nam autor uczony wspaniałą sylwetkę królewicza, analizował te cechy, które składały się na wielkoduszną jego postać, przesunął przed oczyma postaci wspomniane, z szeregu zapisek i notat wydobywając to, co mogło je jeno do życia powołać, postawić w świetle pełnem i prawdziwem. W zgoła odmiennych rysach przedstawił tragizm postaci Glińskiego, który z pierwszych zaufanych króla przechodził w szeregi zdrajców króla, co wielkich pomny zasług adherenta, nie mógł takowych nagradzać wedle woli jego, bo mu zabroniła tego i konieczność polityczna i własne niezgodne z tamtym przekonanie. I nietylko w tem leży znaczenie ogromne dzieła, iż autor tyle nagromadził materyału, i tak obfite zeń wykrzesał przedstawienie, i że rewindykując poglądy dotychczasowej historyografii, wygłaszał rzec można słowo ostatnie w tej mierze, ale przeprowadził zadanie o wiele cięższe i trudniejsze do zwalczenia, bo korrekty i wyjaśnienia samych źródeł, co tylu badaczy doby ostatniej i lat poprzednich w błędy fatalne wprowadzały, nie wykluczając i największych z nich.

W zaletach tych i poprzednich legła zasługa ogromna dzieła najgruntowniejszego, jakie lata ostatnie poświęciły „Jagiellońskim wczasom“.

MEMORYAŁ O STANIE MUZEUM RAPPERSWILSKIEGO Z R. 1895.*)

Gdyby kogoś z zawiązanemi oczyma wprowadzić do salonów Rapperswilskiego zamku, a następnie, odwiązawszy mu je, zapytać, gdzie się znajduje?—odpowiedziałby bez żadnego wahania,że w składzie starożytności, albo raczej w handlu temi przedmiotami, które bez żadnego systemu tu i tam porozwieszone i rozlokowane oczekują na kupca. Tenże sam mógłby z równą racyą utrzymywać, że się znajduje w lombardzie, gdzie o przedmioty na zastaw dane, nikt się nie troszczy. Wreszcie powiedziałby, że się znajduje w zamku jakiegoś bogatego dziwaka, który nie mając najmniejszego o rzeczy pojęcia, bawi się w archeologię, zbieranie obraz-

*) Memoryał ten p.t. **Uwagi dotyczące obecnego stanu muzeum narodowego polskiego w Rapperswylu.** odbity na hektografie w ograniczonej zapewne ilości egzemplarzy, zwrócony został do Rady Muzealnej. Egzemplarz, który mamy przed sobą, zawiera własnoręczną adnotacyę ówczesnego bibliotekarza, p. Stefana Żeromskiego o autorze, i wymienienia jako takiego dra Henryka Dobrzyckiego z Warszawy. W zakończeniu swego memoryału dr. D. komunikuje racye, jakie go odwodzą od publikowania swej opinii. Sądzimy, publikując opinię tę, jako materyał historyczny pierwszorzędnej wagi, do oceny sytuacyi obecnej służący, że publikacya ta sprawie już nic zaszkodzić, lecz tylko pomóc może. Dr. D. pisze: „jestem tego przekonania, iż w danym razie lepszą by była jawność aniżeli pozostawienie status quo ante“. Ponieważ **status quo ante** rozpoczyna szczęśliwie rok swój szesnasty, sądzimy, że jedną nań radą będzie jawność.

ków, medali itp. Słowem o zbiorach Rapperswilskich wszystkoby mógł powiedzieć, ale nigdyby nie wpadł na tę myśl, że to ma być muzeum, jak to każdy ucywilizowany człowiek pojmuje, zwłaszcza muzeum narodowe, to jest takie, którem się naród opiekuje. Bez żadnej przesady wyznaję, że takie wrażenie zrobiło na mnie muzeum Rapperswilskie, a wrażenie to tem więcej się ustaliło, im więcej zacząłem się rozglądać w szczegółach. Za drugim moim przyjazdem, który przedsięwziąłem głównie dlatego, aby poznać kustosza zbiorów, a którego i teraz nie znalazłem na miejscu, zasadnicze, elementarne braki w układzie wewnętrznym muzeum jeszcze silniej mnie uderzyły. Zdawało mi się, że wszystko przedsięwzięto, aby zatrzeć przewodnią ideę, w imię której muzeum to istnieje, że całe usiłowanie ku temu skierowane zostało, aby z nadesłanych materyałów i okazów bezwładny chaos wytworzyć.

Jeżeli kustosz (co przypuszczam, że jak na całym świecie, tak i tu, wewnętrzna organizacya instytucyi i czuwanie nad nią do kustosza należy) chciał ten cel osiągnąć, wyznać należy, iż mu się to całkowicie udało. Bezład ten dochodzi do tego stopnia, że człowiek mimowoli zadać sobie musi pytanie, jaki pożytek dla narodu naszego przynosi podobny lamus? Atoli już po kilku godzinach dochodzi się, na szczęście, do tego przekonania, że salony Rapperswilskie zawierają niemało cennych rzeczy, pięknych, doniosłych pamiątek pod wieloma bardzo względami, słowem, że zawierają materyał, z którego bardzo pouczające i wartościowe muzeum złożyć można. Zdanie podobne słyszałem z ust wielu kompetentnych osób, zanim jeszcze Rapperswil zwiedziłem. Reforma w wewnętrznym ustroju muzeum jest nieodbicie konieczna.

Zanim o niej pomówię i potrzebę jej uzasadnię, proponowałbym jak najśpieszniej usunięcie w oczy rzucających się braków lub nienormalności, które nawet na niefachowym w rzeczach muzealnych bardzo przykre robią wrażenie. Będzie to łatwo i prawie bez kosztów, byle tylko był ktoś, coby chciał się tem zająć. I tak: 1-o (tu autor mówi o wystawionych na pokaz w Muzeum odlewach gipsowych rzeźb Wiktora Brodzkiego, których oryginały znajdują się zresztą w Muzeum). Odlewy te rzecz prosta, zajmują dużo miejsca i jako odlewy tylko wyjątkowo mogą się do umieszczenia kwalifikować, nigdy zaś wtedy, gdy się też same rzeczy w marmurze posiada... Wszakże nie o ilość, a o jakość okazów chodzi, kopie więc tych dzieł sztuki, które się już w muzeum znajdują, to dwa grzyby w barszczu. Wreszcie gipsy w muzeach takich, jak Rapperswilskie, nigdy nie robią dodatniego wrażenia, a jeżeli już są, powinny być w oddzielnem miejscu zebrane. Jako ornamenty do udekorowania sal również nie powinny być używane. Gipsowa masa na nikim nie zrobi wrażenia, jest ona zimna, bezduszna, dlatego to słusznie mówią rzeźbiarze, iż: glina życie, gips śmierć, marmur zmartwychwstanie. 2-o (o napisach na przedmiotach wystawionych). Czytelne i dobrze zredagowane napisy w każdem muzeum są rzeczą niezmiernie ważną i conditio sine qua non stanowią.

Tymczasem w Muzeum Rapperswilskiem napisy są niżej wszelkiej krytyki, gdyż nietylko, że są niedbale i nieczytelnie zredagowane, że nieraz zrozumieć nie można, co dany przedmiot ma przedstawiać, lecz nawet liczne omyłki ortograficzne, szczególniej w francuzkim języku się napotyka.

Mnóstwo przedmiotów jest całkiem bez napisów, niektóre napisy są takie, że rodzą w umyśle pewne wątpliwości — słowem, że nomenklatura okazów Muzeum Rapperswilskiego w opłakanym znajduje się stanie...

3-o. Każda kopia z obrazu, gdyby nawet dorównywała oryginałowi, musi się nazywać kopią, mieć naklejoną kartę z wyraźnem zaznaczeniem tego. Tymczasem panu kustoszowi czy komu innemu podobało się kopie nazwać oryginałami, bo pod obrazami czytamy: Ribera, Murillo itd., tak jakby to były rzeczywiście oryginały. Dowodzi to albo nieznajomości rzeczy, albo chęci wprowadzenia w błąd odwiedzających i zaimponowania im tem, czego w muzeum niema.

Robi to bardzo przykre wrażenie i wstydzić się za kustosza każe, bo co sobie o nas pomyśli ten czy ów Francuz lub Anglik,gdy coś podobnego spostrzeże...

4-o. Zbiór broni pod każdym względem znajduje się w opłakanym stanie. Ani systemu ani ładu w układzie, ani też chronologii, całość przedstawia się tak, jakby ją układał człowiek, który nigdy żadnego muzeum nie widział. W danym razie nie chodzi już o specyalną znajomość przedmiotu, lecz o jakąś symetryę, o jakieś poczucie estetyczne, które niejeden nawet nieukształcony człowiek posiada. Możnaby jeszcze darować owe niezdarne gwoździska i bretnale, na których broń biała i palna jak w jakim kramiku wisi, ale tego darować nie można, że ją rdza zjada, że brudu masa na niej spoczywa, że broń ta nie jest oczyszczona wedle zasad muzealnego konserwatorstwa. Proszę zobaczyć, jak broń taką się przechowuje np. (żeby już daleko nie szukać) w muzeum Czartoryskich w Krakowie.

5-o. Ten sam bezład widzimy w zbiorze medali, które nie rozklasyfikowane i chronologicznie lub rzeczowo nie ułożone leżą bez żadnego planu, tak jak groch z kapustą, a razem z monetami jest ich 7 tysięcy. A szkoda, bo zbiór jest interesujący, bogaty i w rzeczy rzadkie i mało znane obfitujący. Coby to za piękną całość z nich złożyć można.

6-o. Co mają znaczyć jakieś czarne czy ciemne spodnie zawieszone nad drzwiami w sali mundurowej? tego dalipan zrozumieć trudno.

Miałyżby one według pana kustosza reprezentować dział etnografii polskiej? nie wiem, znaczyć coś chyba one muszą, skoro je zawieszono i to w takiem miejscu, że ich przeoczyć niepodobna. Zanim się ta kwestya wyjaśni, byłoby właściwiej zachować te spodnie, aby nie dawać pola do domysłów, które kustoszowi muzealnemu zaszczytu nie przynoszą.

7-o. Zdaje mi się, że w tej samej sali, w której znajdują się wyżej wzmiankowane spodnie, zauważyłem jakąś oryginalną dekoracyę drzwi, prowadzących do sąsiedniego salonu. Rzeczywiście dekoracya niezwykła, przyglądam się też jej pilnie, aby się przekonać, z czego zrobioną została i oczom swym nie wierzę. Co to jest panowie? pytam obecnych a to „proszę pana, są pasy staroszlacheckie i z nich to ta dekoracya zrobioną została". Jakto? więc te pasy, które w witrynach dobrze zabezpieczonych od kurzu i wilgoci winny być zachowane, gwoździami do ściany zostały przybite i na pastwę molom a kurzowi wydane? Czy po to dla muzeum je ofiarowano, aby w tak brutalny sposób z nimi postąpiono? Może to ofiara jednego z synów, co jeszcze pamięta swego ojca, pas ten noszącego w lepszych dla Polski czasach. Może to jedyna spuścizna, którą tenże syn, żywiąc miłość dla przeszłości, chciał złożyć w skarbnicy narodowych pamiątek. Godziż się tak z temi pamiątkami postępować?

(C. d. n.).

WALKA NA UNIWERSYTETACH.

Skonfiskowano.

„Czas" krakowski w pięknym i namaszczonym artykule wstępnym wzywa młodzież, by przejrzała „że uniwersytet odzierany z powagi, zakłócony gwałtami, pozbawiony spokoju koniecznego do pracy, stałby się przyczyną zmniejszenia naszego bilansu narodowego, zmniejszenia dotkliwego i trudnego do wyrównania". Złote słowa, które powinny były zostać zdawna wyryte w umysłach panów Czerkawskich, Godlewskich i tych wszystkich, którzy siali wiatr i burzę dziś zbierają...

Proklamowany strejk objął od poniedziałku oba uniwersytety w kraju; na uniwersytecie krakowskim senat wezwał ku oburzeniu całego miasta policyę i wojsko, ogłosił uniwersytet za zamknięty, grożąc nowemi wpisami; dopiero rozporządzenie ministeryalne pohamowało zapały represyjne, postanawiając zwykłe zawieszenie wykładów. Na politechnice lwowskiej wykłady zawieszone. Na uniwersytecie strejk, ogłoszony przez młodzież polską postępową, poparty przez narodowych niepodległościowców, ludowców i młodzież innych narodowości, spotkał si: z zażartym oporem wszechpolaków, którzy zwalczać go poczęli bokserem, pałką i ciupagą. Polała się krew; trzech postępowców ciężko poraniono. Pod ochroną policyi, w lokalu swojej Czytelni, urządzili wszechpolacy wiec, mieniący się ogólnoakademickim i osiągnęli na nim większość kilkudziesięciu głosów — c z t e r y s t u postępowcom policya wzbroniła wstępu. Są na to dziesiątki świadków... W enuncyacyach publicznych pochwalali młodzieńcy wszechpolscy relegacye senackie. Z pomocą przyszło im oczywiście „Słowo Polskie" i „Dziennik Polski", nie mówiąc już o prasie jawnie konserwatywnej i o brukowym „Gońcu". Znalazły się argumenty, nacechowane znaną kulturą obyczajową górnego Łyczakowa. Więc rozruchy uniwersyteckie to „robota naszych wrogów", którzy nam pozazdrościli Zimmermana i jego baby; zdziałał je „czynnik nihilistyczno-masoński, bezwzględny, brutalny, ryczący jak Kaliban...". Tak szlachetne dzienniki „narodowe" pojmują i charakteryzują większość młodzieży polskiej.

Prawda — „Słowo Polskie", zawsze skłonne miną nadrabiać, głosi, że to „przeważnie" młodzież żydowska. Zarazem zaś stwierdza znany fakt, że młodzież, walcząc przeclw klerykalizmowi rzymskiemu, wręcz odmówiła kolegom-żydom prawa do czynnego udziału w tej akcyi, no i samo „Słowo Polskie" podziwia machiawelizm tego kroku, mniemając zgoła, że myśl tak przebiegła nie mogła się wylęgnąć, jeno w głowie posła Daszyńskiego i że ten umyślnie nawet jeździł do Lwowa, aby pokierować rozruchami... Młodzież walcząca apelowała, rzecz naturalna, do solidarności akademickiej młodzieży innych uniwersytetów państwa. Szło przecież o rzecz wspólną, o niezależność świeckiej wiedzy i kultury. Więc znowu wrzask w prasie i wśród młodzieży klerykalnej i wszechpolskiej: wołają na pomoc Niemców i Czechów! Jeżeli „Słowo Polskie" sądzi, że z Niemcami można tylko szwindle polityczne robić razem — tem gorzej dla niego.

Rzucono się przy tej okazyi na sam fakt opozycyi przeciw wykładom publicznym ks. Zimmermana. Sprowadzono rzecz całą do „sekciarskiej" czy też „partyjnej" zawiści. Zresztą — wszystko w porządku. Niech panoszą się na wszechnicach ośmieszone nawet wśród światlejszego duchowieństwa butne „szanteklery", legitymując się z kwalifikacyi naukowych broszurką dwuarkuszową, czy też dziełem o gospodyniach. W tem niema sekciarstwa, owszem, to jest szczyt — wolności nauki... Więc usiłuje prasa reakcyjna zasłonić oczom ogółu, że nie z katolikiem walczono, ale z zerem uprzywilejowanem i forytowanem, że ta sama młodzież, która z taką zapalczywością tylokrotnie demonstrowała przeciw ks. Zimmermanowi, z zapałem słuchała niedawno wykładów k s i ę d z a Pawlickiego, z zapałem słuchałaby wykładów k s i ę d z a Fiałka. Jeśli zaś idzie o taktykę, którą młodzież obrała, to, o ile nam wiadomo, nie zbito ks. Zimmermana jajami i nie strącono ze schodów, co się pono przytrafiło we Lwowie przed dwoma laty byłemu profesorowi uniwersytetu, drowi Michałowi Bobrzyńskiemu, pominąwszy jego działalność urzędową i polityczną — uczonemu niepowszedniej miary. Wówczas głucho jakoś było o „brutalności" młodych „kalibanów", a „Słowo Polskie" zgoła nie było tego zdania, aby przestępcom należała się kara. Senat akademicki zdaje się dochodzenia nawet nie wdrażał i nikt nie miał okazyi do zachwycanią się „łagodnością wyroku".

Skonfiskowano.

KŁOPOTY AGRARNE RZĄDU CARSKIEGO.

Rewolucya 1905 r. wysunęła w Rosyi na plan pierwszy kwestyę agrarną. Żywiołowy ruch chłopski, podsycany przez agitacyę socyalistów-rewolucyonistów, ogarnął milionowe masy i zagroził panującej w Rosyi warstwie szlacheckiej nieobliczalnemi katastrofami. Łuna płonących folwarków pańskich, ryk niszczonego bydła, trzask rujnowanych spichlerzy, łomot wyrąbywanych lasów na całej przestrzeni Wielkorosyi i gubernii sąsiednich, unaoczniły rządowi i warstwie szlacheckiej, że z chłopami niema żartów. Ekspedycye karne, mordowanie buntujących się chłopów przez wojsko i kozaków, wypełnianie przywódcami „buntowników" więzień i miejsc zesłania, wreszcie powieszenie kilku setek „kierowników" ruchu chłopskiego stłumiło go na razie. Zmienienie ordynacyi wyborczej do Dumy wymiotło z niej najradykalniejszą część przedstawicielstwa interesów chłopskich — kierowników t. zw. „grupy pracy". Represye nieustające zniszczyły niemal zupełnie wszelki związek wsi rosyjskiej z ośrodkami rewolucyjnemi i socyalistycznemi po miastach. Martwa cisza i spokój grobowy zapanowały na szerokich płaszczyznach ziemi rosyjskiej. Rząd i kontrrewolucya zatryumfowali.

Jednak ruch rewolucyjno-agrarny 1905 r. był zjawiskiem tak groźnem, że nawet złamanie go nie wypłoszyło z umysłów rządowych i szlacheckich obaw dręczących. Zrozumiano, że samemi represyami nie da się zapobiedz na przyszłość powtórzeniu się rozruchów chłopskich, które mogą wybuchnąć w jeszcze większych i jeszcze groźniejszych rozmiarach. Zabrano się więc do reform, któreby uniemożliwiły takie wybuchy.

Ponieważ rosyjski socyalizm agrarny opierał swe nadzieje na wielkoruskiej wspólnocie gminnej, na t. zw. „obszczynie", przeto rząd skazał to ostatnie na zagładę jako instytucyę o charakterze komunistycznym. Stołypin w swym referacie o reformie agrarnej, przedłożonym radzie ministrów, mówił wyraźnie: „Należy pamiętać, że obszczyna i władanie familijne udziałami stoi na przeszkodzie utrwaleniu w szerokich warstwach ludności wiejskiej prawidłowych poglądów na własność prywatną wogóle. Tem w znacznej mierze tłómaczą się dokonywane w ostatnich czasach prawie wszędzie grabieże i pogromy majątków właścicieli prywatnych. Nowy ład polityczny w naszej ojczyźnie dla swej trwałości i siły potrzebuje takiego systemu gospodarczego, któryby się opierał na zasadach własności indywidualnej i na szacunku do własności innych." W tym kierunku idą najrozmaitsze zarządzenia agrarne, ukoronowane słynnem prawem z d. 9/22 listopada 1906.

Prawo to, przyjęte przez Dumę, łamie ustalony w ciągu wieków ustrój wsi rosyjskiej i otwarcie dąży do zlikwidowania obszczyny. Pozwala ono bowiem występować z obszczyny jej członkom, przyczem taka ilość ziemi, z jakiej korzystali, nie tylko staje się ich własnością prywatną, lecz musi być im oddana w jednym, skomasowanym kawałku. Rząd postanowił użyć całej swej mocy, aby jaknajpośpieszniej przeforsować realizacyę tego prawa. Nie liczono się więc z niczem, z całą brutalnością środków administracyjno-policyjnych forytując chłopów, pragnących rozstać się z obszczyna.

Proces niszczenia środkami administracyjnemi obszczyny, prowadzący pośrednio do wytworzenia w niedalekiej przyszłości olbrzymich zastępów proletaryatu bezrolnego, znajduje się w toku. I rząd Stołypina tryumfuje, wskazując na stale powiększającą się po wsiach rzeszę chłopów, którzy już posiadają „prawidłowe poglądy na własność prywatną".

Jednocześnie z podkopywaniem obszczyny rząd Stołypina zabrał się do forsowania wychodźctwa na Syberyę w celu rozrzedzen,a w Rosyi Europejskiej mas niezadowolonego chłopstwa. Puszczono w ruch cały aparat wysiłków administracyjnych, byle tylko spotęgować ruch przesiedleńczy za Ural. Bezczelna wprost reklama, wychwalająca rozkosze syberyjskie, wyjątkowe środki, pobudzające i nawet przymuszające chłopów do wychodźctwa— wszystko to istotnie dało wyniki oczekiwane. W ciągu 3 ½ lat zerwano z miejsca prawie dwa miliony chłopów, którzy udali się w poszukiwanie ziemi obiecanej na Syberyi. Lecz, o ile skutki walki rządu z obszczyną nie dadzą się jeszcze należycie ocenić, forsowanie wychodźctwa na Sybir już obecnie ujawnia rezultaty fatalne.

Rząd rosyjski, jak zwykle, wykonał swój plan bez żadnego zastanowienia. Tak np. znaczną część przesiedleńców pchnięto na ziemie, położone wzdłuż linii budowanej obecnie kolei Amurskiej. Ponieważ zaś linię tę wytknięto bez żadnych poważniejszych badań przedwstępnych, przeto pokazało się, że ziemia, którą tam otrzymali przesiedleńcy, wcale się do prowadzenie gospodarki rolnej nie nadaje, gdyż nawej w środku lata nie odmarza głębiej jak na stopę. Gdzieindziej chłopi przesiedleńcy spotykali jeszcze inne przeszkody, co ich w końcu musiało zniechęcić do forsowanego przez rząd wychodźctwa. I w rezultacie, pomimo przeszkód, stawianych przez władze, rozpoczął się wielki ruch powrotny, stale się wzmagający.

Ruch powrotny istniał i dawniej, gdyż sprawa kolonizacyi Syberyi jest postawiona tak licho, że ucieczka stamtąd przesiedleńców jest zjawiskiem stałem. Ale obecnie zjawisko to przybiera rozmiary niesłychane. W r. 1908 przesiedleńców, powracających do Rosyi Europejskiej, było 45.000; w r. 1909 — 82.000; w r. 1910 już 110.000. Trzeba jednakże podnieść tu różnicę sytuacyi dawnych a nowych uciekinierów.

Dawniej każdy taki powracający z Syberyi wychodźca zastawał we wsi rodzinnej kawałek ziemi, z którego w dalszym ciągu mógł korzystać. Dziś po zastosowaniu prawa z 9/22 listopada 1906 r., wychodźca, jadąc na Sybir, sprzedaje wyodrębniony z obszczyny szmat własnej ziemi i, powracając do domu, staje się proletaryuszem bezrolnym, nędzarzem bezdomnym. Takich nędzarzy polityka wychodźcza rządu stołypinowskiego rzuciła na pastwę losu do 230.000 w ciągu ostatnich lat paru.

Jednocześnie zmniejsza się i ruch wychodźczy. W ciągu pierwszych 9-ciu miesięcy r. 1909 liczba wychodźców sięgała 585.000, w takim samym czasokresie roku ubiegłego spadła ona do 300.000. Zdaniem znawców stosunków niezbyt dalekim jest ten czas, kiedy liczba wychodźców za Ural zrówna się z liczbą powracających stamtąd nieszczęśników. W ten sposób polityka wychodźcza rządu stołypinowskiego gotuje sobie kompromitujące fiasko.

Forsując ruch przesiedleńczy jako odtrutkę na socyalizm agrarny, rząd ani się spostrzegł, że własnoręcznie utrwala to w Rosyi Azyatyckiej, z czem tak zawzięcie walczy po tej stronie Uralu — mianowicie socyalizm agrarny. Ten przerażający z punktu widzenia reakcyonistów fakt wykryła czarnosecinna „Nowoje Wremia", która rozdziera szaty z powodu wewnętrznej sprzeczności tkwiącej w polityce rządowej.

Oto na zachód od Uralu władze wmawiają w chłopów, że tylko własność prywatna i indywidualne władanie ziemią jest zbawienne, za Uralem natomiast ciż sami przedstawiciele władzy osiedlają chłopów w obszczynach. Chłopi, przesiedlający się za Ural, spotykają się tam z socyalistycznym ładem rolnym, o jakim szeroko pisały odezwy i broszury rewolucyjne w dniach wolnościowych. Na Syberyi ziemia stanowi własność państwa. Każdy z przesiedleńców otrzymuje nadział bezterminowy, którego nie może ani sprzedać, ani podarować, ani wyzbyć się w jaki inny sposób. Obszczyna syberyjska pilnie baczy, aby do niej się nie wkradła nierówność posiadania i własność indywidualna. Jednem słowem rząd, jak zapewnia „Nowoje Wremia“, walcząc w Rosyi Europejskiej z hydrą socyalizmu agrarnego, najspokojniej w świecie hoduje też samą hydrę za Uralem.

I sfery rządowe niepomału są strapione tem, co się dzieje za Uralem. Stołypin, powróciwszy z przejażdżki inspekcyjnej po Syberyi, doszedł do przekonania, że — z jednej strony nie należy tak dalej forytować komunizmu agrarnego, a z drugiej — trzeba pomyśleć o obdarowywaniu ziemią syberyjską i szlachty rosyjskiej. I w tym kierunku pójdzie zapewne dalsza polityka przesiedleńcza Rosyi. Szlachta będzie otrzymywała ziemię na Syberyi, gdyż to „żubrów“ rosyjskich jeszcze bardziej przywiąże do rządu obecnego. Co się zaś tyczy obszczyny, to zostanie ona również i za Uralem skazana na śmierć powolną. Byle odsunąć w jak najdalszą przyszłość wybuchu niezadowolonych mas chłopskich, byle zatkać żarłoczne gardła szlachty rosyjskiej — tej najwierniejszej opory tronu carskiego!

Szalona gospodarka dzisiejszych panów Rosyi, dezorganizująca same podstawy istnienia państwa, niszcząca go z dziką zaciekłością, skierowana jest wyłącznie ku temu, aby przedłużyć panowanie tryumfującej kliki kontrrewolucyjnej. Niech dyabli biorą Rosyę, bylebyśmy się mogli utrzymać przy władzy jeszcze bodaj parę lat dziesiątków — oto hasło kamaryli dworskiej, Stołypinów, Puryszkiewiczów i Eulogiuszów. I pod tem hasłem rozwijane są reformy i kontrreformy w najważniejszej dziedzinie życia rosyjskiego — w dziedzinie stosunków agrarnych.



ADAM LISIEWICZ.

MONOGRAFIA GALICYI.

III.

Hasło uprzemysłowienia Galicyi rozbrzmiewa od lat paru coraz częściej, brak samodzielności ekonomicznej daje się najbardziej może odczuwać na polu przemysłowem. Zbadaniu Galicyi, jako terenu do rozwoju przemysłu w przyszłości, jej bogactw i zasobów poświęcił prof. Bujak tom drugi swego dzieła. Jakkolwiek nie wyczerpuje ona materyału i wiele kwestyi pozostawia nietkniętych, porusza jednak cały szereg dziedzin dotąd nieopracowanych i wskazuje na punkta wytyczne, jakimi rozwój przemysłowy Galicyi pójść powinien, by stanowisko samodzielne bodaj w części uzyskać mogła. Całą produkcyę nierolną Galicyi widzimy w leśnictwie, górnictwie i przemyśle w ściślejszem znaczeniu.

Powszechnie panujące pojęcie, że Galicya jest krajem lesistym, jest mylnem w zupełności, bo lasy stanowią w niej 25·6 % obszaru kraju, gdy w Austryi wogóle procent ten lasów wynosi 32 %. Lasy jednak stanowią bogactwo kraju bardzo poważne, toteż gospodarka umiejętna jest rzeczą ważną. Niestety stosunki leśne, jakkolwiek uregulowane w teoryi ustawą, nie posiadają odpowiednich organów, któreby odpowiedni nadzór wykonywały i chroniły od niszczenia. Często zarządzają lasami ludzie bez żadnych kwalifikacyi, a na urzędnika inspekcyjnego wypada nieraz po 200.000 ha do kontroli! Ponadto część lasów pada ofiarą parcelacyi, czemu zapobiedz nie można, chyba przez dążenie do zmonopolizowania lasów w rękach państwa. Stan lasów galicyjskich wogóle jest lichy pod względem kultury i gospodarki, mimo to jednak przyrost masy drzewnej jest stosunkowo największy w państwie, a drzewostany są najbardziej zasobne i wartościowe, tak, że dochód z lasów galicyjskich stanowi połowę dochodu z lasów państwa. Jednym z braków, jakie podnieść należy, jest brak stacyi doświadczalnej i biura lasowego, oraz fakt, że szkoła lasowa we Lwowie ma charakter szkoły średniej, skutkiem czego na wyższe stanowiska muszą przychodzić ludzie z ukończoną wiedeńską akademią. Wywóz drzewa jest bardzo poważny; wynosi kwotę 65—70 mil. kor. i stanowi połowę wywozu Austryi, nie licząc drzewa wywiezionego do innych krajów państwa, a które też na kwotę 10 mil. liczyć możemy. Wywozi się koleją do Niemiec a wodą do Rosyi, poł. Włoch, Francyi i Afryki południowej. Zbyt wielka ilość, bo 40 % zużywa się na opał, a możnaby je inaczej wyzyskać, wogóle zwrócićby należało uwagę na przeróbkę wewnątrz kraju, a nie wywożenie surowego materyału.

Rybactwo w Galicyi jest ogromnie nie rozwiniętem; zaledwie $^1/_3$ stawów prowadzona jest gospodarczo. Produkcya rewirów rzecznych wynosi kwotę 300.000 kor. stawów prywatnych 2—3 mil. kor., przyczem wszystko zostaje na rynku wewnętrznym.

Łowiectwo daje mały stan zwierzyny mimo ustaw ochronnych, prowadzone jest prawie dziko, a koszt wyżywienia jest w istocie większy, niż zysk.

Górnictwo, polegające na wykopywaniu skarbów mineralnych ziemi, jest właściwie rodzajem produkcyi najbardziej pierwotnym. Zastosowanie urządzeń technicznych i układ stosunków między przedsiębiorstwem a robotnikami powoduje zaliczanie górnictwa do działu statystyki przemysłowej, podlega ono jednak osobnej ustawie górniczej (sąd górniczy w Krakowie). W bilansie Galicyi produkcya górnicza wynosi 50 mil. kor. — gdy w porównaniu do obszaru innych krajów państwa powinna dwa razy tyle wynosić. A i to zaznaczyć trzeba, że połowę stanowi ropa i wosk, jedyne

w państwie; węgla i rud metali zaledwie po parę procent.

Pierwsze miejsce w produkcyi górniczej galicyjskiej stanowi sól 37 %, zajmując zarazem 46·5 % produkcyi państwa, wydobywana w kopalniach i salinach. Produkcya wzrasta ciągle, przedewszystkiem wzmaga się produkcya soli fabrycznej i bydlęcej dzięki obniżeniu cen, tej ostatniej daleko jednak do takiego wzrostu, jaki ze względu na ilość bydła powinna mieć miejsce, co dowodzi zresztą przedewszystkiem braku racyonalnej hodowli bydła. Faktem jest, że przywóz soli głównie do celów fabrycznych z zagranicy do Austryi zwiększa się corocznie, zwiększenie więc produkcyi byłoby wskazanem. Produkcya soli potasowych, a przedewszystkiem kainitu (w Kałuszu), jedynego miejsca na świecie po Strassfurcie w Niemczech maleje nie wiadomo dla jakich powodów, mimo, że czyniono wiele usiłowań w tym kierunku. Stan salin jest nizkim. Pod względem technicznym zawierają wiele zabytków archeologicznych — brak zdobyczy techniki widać tak w maszynach, jak i narzędziach nawet. Zjazdy górnicze krajowe domagają się wydzielenia zarządu salin z dyrekcyi skarbu, uważającej przedewszystkiem na małe inwestycye, a jak największe zyski, a przeniesienia do ministerstwa robót publicznych lub oddania zarządu krajowi, na co rząd zgodzić się nie chce.

Węgiel kamienny jest najważniejszą siłą motoryczną na świecie, i od niego zależy w głównej mierze rozwój przemysłowy kraju. Galicya posiada drugą jeszcze siłę naturalną, a mianowicie obfitość potoków i rzek o silnym spadzie, użycie ich jednak z powodu nieuregulowania jest niemożliwe, a wobec konieczności kolosalnych inwestycyi jest na dłuższy czas wykluczone, mimo, iż siła wodna jest 3—4 razy tańszą od węgla. U nas niestety zwracano małą uwagę na wydobywanie węgla, nie starano się zupełnie o poparcie rządu lub zainteresowanie kraju. Dziś produkcyę węgla wzięły w swe ręce kapitały niemieckie i francuskie — naszem dążeniem powinno być założenie krajowej kopalni, zorganizowanie sprzedaży i t. p. Kwestya kanałów jest w tym wypadku nader ważną, gdyż tani przewóz mógłby wynagrodzić mniejszą wydajność kaloryi węgla galicyjskiego. Taryfa kolejowa popierała do niedawnego czasu węgiel pruski, że np. przewóz węgla pruskiego był do Lwowa tańszym, niż galicyjskiego! Badanie formacyi węglowej i jej rozciągłość dopiero teraz zostały na szerszą skalę przedsięwzięte i dały nieoczekiwane wyniki. Na podstawie wierceń z r. 1908 obliczono, że Galicya posiada 25 miliardów tonn węgla, — gdy np. Morawy i Śląsk posiadają 2·1 miliarda tonn, a więc punkt ciężkości zapasów węglowych austryackich leży w Galicyi! Badania wykażą prawdopodobnie, że węgiel nasz przewyższy obfitością górnośląski, stanowiący dziś 50 % zużycia węgla w Austryi. Jakością ustępuje galicyjski węgiel dość znacznie, ale coraz głębsze pokłady są i pod tym względem coraz pomyślniejsze. Kłopot sprawia u nas ogromna ilość wody podziemnej, „kurzawka“, wskutek czego potrzeba bardzo kosztownych inwestycyi. Dziś import węgla do Galicyi przewyższa jej eksport, produkcya jednakże od r. 1904 bardzo wzrosła; wzrasta również konsumcya, szczególnie wskutek używania węgla przez część ludności wiejskiej w zachodniej części kraju.

Produkcya rud metali wogóle przedstawia się niepomyślnie i niema pomyślniejszych widoków, głównie skutkiem braku koksu. Cierpi na tem ruda ołowiana, wytwarzająca 1 milion q. tj. połowę zapotrzebowania Galicyi; podobnie ma się rzecz z rudą ołowianą, stanowiącą 20 % austryackiej produkcyi, obecnie skutkiem podjęcia ruchu w Trzebionce powinna nastąpić poprawa. Dobywanie rudy cynkowej stale upada, jakkolwiek hutnictwo cynku wzrasta i stanowi 74 % austryackiej produkcyi. Istnieją huty w Niedzieliskach, Krze i Trzebinii. Dowodzi to, że rozwojem przemysłu nie koniecznie władają tylko czynniki naturalne.

Ustawodawstwo górnicze wymaga reformy gwałtownej. Kwestya upaństwowienia kopalń węgla staje się aktualną — ostatni projekt noweli rządowej daje prawo poszukiwania węgla tylko państwu; oczywiście walczą przeciw temu wielkie towarzystwa kapitalistyczne. Stosunki robotnicze domagają się też uregulowania. Wprost koniecznością okazuje się założenie akademii górniczej w Krakowie lub wydziału górniczego przy politechnice lwowskiej, dotąd bowiem żadnej wyższej szkoły górniczej Galicya nie posiada. (C. d. n.).

SPRAWOZDANIA.

(SF) „Ozimina“. (Powieść Wac. Berenta) 1911. str. 339. Berenta trzeba nazwać poetą straceńców, jednostek jak i całych klas skazanych na zgubę bezpamiętną. Gdyż dzięki swej organizacyi twórczej zdolny jest, jak nikt inny, wrażliwością i zrozumieniem wniknąć w najskrytsze pobudki i przyczyny, ogarnąć najsłabsze objawy i momenty — schyłkowe. Moment dziejowy takiej décadence kulturalnej odtwarza on w czasie stawania się, jako coś w swym rozkładzie nawet żywego, mimo powtarzalność zasadniczych znamion nowego. Historykiem jest w tem znaczeniu, że przedmiot tak ujęty, w całość swoistą zawarty pozostawia przyszłości w formie skończonej, jako monument dziejowy.

Podstawą tego historycznego objektywizowania drgnień i chwil aktualnych, całkowicie jeszcze nie przeżytych, jest przedewszystkiem jego metoda ujmowania zjawisk — metoda naukowa. Intuicya bystra i niezawodna służy do zupełniejszego ujęcia i wykończenia przedmiotu, który w tej samej chwili staje się przedmiotem doświadczenia. Objawów życia tak doświadczalnie zbadanych mimo to nie wyraża Berent w schematach suchych i szablonowych. — W wyrażaniu i w odtwarzaniu rezultatów badań miejsce uczonego zajmuje twórca.

Tę objektywizacyę historyczną zdradza prócz innych cech także styl w swych rytmach uroczysty i poważny. Taki styl uderza czytelnika już na pierwszych stronach „Oziminy“.

Zdawało się, że w „Próchnie“ całkowicie się wypowiedział, że nirwany zapomnieniem uświęcając ból i udrękę pesymizmu dał dzieło zupełne i ostatnie. Takie przekonanie wzmacniały także lata milczenia. Jednak dla Berenta „Próchno“, prócz wartości dzieła genialnie odtwarzającego atmosferę cyganeryi z końca ubiegłego stulecia, miało także inne znaczenie: było kluczem służącym do zrozumienia zjawisk wraz z ich przyczynami całego życia społecznego lat ostatnich. Tak Berent zstępuje i szuka głębszych przyczyn dla tamtych jak i innych zjawisk. A równocześnie związek przyczynowy w jego oczach odwraca się: bezsiła pesymizmu sztuki oddziaływa w sposób zgubny na życie społeczeństwa.

I pierwsze części „Oziminy“ są jeszcze jakby dalszym ciągiem „Próchna“, tylko ze zmianami wyżej wymienionemi. Dają obraz upadku sił, zastoju w całem życiu społeczeństwa. Na balu, w chwili dla nas przełomowej, maluje Berent całą bezduszną i kwietystyczną jałowość egzystencyi burżuazyi, całą atmosferę dosytu, gnuśności i znieprawie-

nia wszelakich instynktów i impulsów życiowych. W tej atmosferze zatrute kłamliwością uczuć, myśli i chęci najżywotniejszych jakoteż omotane pajęczyną cynizmu i gnuśności ogólnej marnieje i ginie wszystko najbujniejsze i najzdrowsze w narodzie.

Natury słabsze, marzycielskie, wśród przeszłości wspomnień wychowane, schną i giną w tej atmosferze ogólnego zastoju i zdrady duszy wspólnej, lub wyrastają na bezużyteczne ofiary. Natury silniejsze w braku podniet ambicyi i wśród zgnilizny okolnej, zatruwającej wszelkie porywy silniejsze, spalają się trawione ogniem dusz własnych. Dwa typy biegunowo przeciwne istnieją w Polsce, jedynie w życia takiego warunkach: typ zdrady duszy wspólnej na rzecz dosytu i szczęścia osobistego, kosztem najżywotniejszych sił i najszlachetniejszych porywów, na drodze zaprzepaszczenia własnej duszy, i typ ofiary ducha i czynu, cicho spalających się na stopniach ołtarza. — „Wiośnie na okup, słońcu na ofiarę, dla podźwignięciu dusz, powstałych z błotnej topieli pognębienia“.

Przyczyny tego okolnego zastoju i bizantyńskiego skostnienia życia widzi Berent w nienormalnym stosunku naszym do romantyzmu, którego spuścizna z biegiem czasu stała się dla nas „mimowolnym rozsadnikiem omamów, obłudy przed sobą — zastoju“, w kłamstwie uczuć, chęci i w bezsile stąd płynącej.

W tę atmosferę zniewieściałości i bezcelowości pada gromkie hasło: wojna! W tej chwili dziejowej odsłania się nicość, bezsiła i całkowita klęska życia tego.

Berent wprowadzając postać starego majora, który już jakby z trumny spogląda na zastój energii społecznych i jako duszy wspólnej sumienie osądza to życie i myśli o przyszłości, nadał swemu dziełu wartość nową, jakiej „Próchno“ nie miało. Wypowiadając bowiem przez usta tej postaci wielkie osądzenie tego życia i rzucając ku przyszłości błogosławieństwo: „Dzięki Ci Boże, że nam się chwasty same pielą“! Berent przezwycięża pesymizm wróżąc znojne lecz słoneczne jutro.

Scena rozmowy Niny z majorem jest najsilniejsza w całej „Oziminie“. W tej scenie i w następnych odsłania się nowy kąt widzenia, pod jakim autor ogląda się wstecz na tę głuchą noc dziejów naszych i patrzy w przyszłość zatrwożony tego życia niemocą i bezradnością. A wraz z poznaniem tego stanowiska i stosunku do życia odkrywa się przed nami także podstawa i uzasadnienie głębsze stylu „Oziminy“.

Na szarem tle tego ginącego świata ostro odcina się postać bojownika sprawy — Komierowskiego, nad którym jednak cięży jak zmora życia okolnego bezład i niemoc w chwili ważnej, bo przełomowej. Obcą też w tej atmosferze jest Wanda, cicha ofiarnica w duchu i czynie, jedna z legionu tych, których urzeczenia romantyzmu porwały do „zwalczania hydry siłami kolebek i zmagania centaurów ramionami dziewcząt“. Oboje są zwiastunami nowych dni, nowych sił i nowych posiewów i należą do tych ludzi, którzy kroczą na czele wszczętego pochodu dziejów, z których „każdy zdał się mieć w sobie coś z fatalności lawiny ruszonej, coś z fatum czasów, wziętego na się sił żywotnością z plemiennego koła“.

A niektóre obrazy i osoby czwartej części są już przeczuciem tej wiosny nowych posiewów i życia odnowy, są schodami, po których zstępując zbliżamy się do podziemi, gdzie pod powierzchnią zastoju energii narodowej z najszlachetniejszych serc nowy posiew wykwitnie. Zakończenie jest dawnych misteryów eleuzyjskich wspomnieniem i rozpamiętywaniem kultu Persefony i Dionizosa — tą wiarą w wieczny ruch i tryumf życia nad śmiercią. Lecz ta wiara i to rozpamiętywanie jest tylko artystycznem zakończeniem dzieła (jak artystyczne tylko jest opowiadanie Komierowskiego: „Ospa na etapie“), gdyż ostatecznem pesymizmu przezwyciężeniem i odnowy życia zapowiedzią jest wiara w „racyę dusz ku czemuś fatalnie dojrzałych“.

(WB) Ks. Jan Ciemniewski. Juliusz Słowacki w świetle swoich pism religijnych. Lwów 1911.

Dwa razy przeżywała ludzkość ekstazę chrześcijańską.

Dogmatycznie w wiekach średnich, etycznie w czasach romantyzmu.

Wieszczowie nasi, najtypowsi wyraziciele swej epoki z konieczności przyrodzonej stanęli na stanowisku etycznego chrześcijaństwa, nie odbiegając wcale od swych poprzedników angielskich, francuskich lub niemieckich.

I tak linia poprowadzona od Jakóba Böhme, Swedenborga, Byrona, Keatsa — poprzez romantyzm niemiecki, Nazaretańczyków z Casa Bartholdy, Lamartina, Chateaubrianda i Wiktora Hugo, aż do Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, byłaby niezachwianie chrześcijańską, z małemi wykroczeniami na korzyść dowolnego tłumaczenia dogmatów.

Wieszczowie nasi, dzięki swej myśli twórczej, nielubującej się w rzeczach niezachwianie stałych, popadli w konflikt z kościołem rzymskim, jakkolwiek umiłowali Chrystusa i naukę jego bardziej, niż jacykolwiek inni poeci tego czasu.

Rzecz niewątpliwej wagi, o ile ich geniusz twórczy wyszedł po za ramy głoszonej nauki i o ile użyźnić ją zdołali własną wiarą.

Błąd bowiem popełniony z nadmiaru miłości daje skalę uczuciową naszych wieszczów.

Kwestyę tę w stosunku do Słowackiego, najnieprawomyślniejszego z pośród Trójcy, rozważa ks. Ciemniewski, autor wielu cennych ksiąg teologicznych. Pomiędzy życiem a czynem Juliusza zachodziła taka różnica, jaka zachodzi pomiędzy kaprysem geniusza, a rozważną logiką mędrca.

Przystępuje on do Sakramentów, w jerozolimskiej kaplicy trawi noc całą na rozmyślaniu, przyjmuje stronę liturgiczną katolicyzmu, ale równocześnie „nie chce się poddać pod kierunek świętoszka i dewota, który przerażony wszelką nowością przybiega z zakazem, abyśmy w materyi wiary naprzód kroku uczynić nie śmieli, poki się na to papież wyraźnie bullą zapieczętowaną nie zgodzi“.

Słowacki helenista, gnostyk wierzący w Mesyasza Narodów, podobnie jako Żydzi II-go wieku w narodziny Wybawiciela, który przywróci im złotą wolność i odbuduje świątynię Salomonową, Słowacki Towiańczyk, wznoszący pracowicie teoryę wędrówki i przemiany dusz w Chrystusie przez łaskę sakramentalną, z całą surowością sądu, uderza na ziemskich przedstawicieli kościoła i Rzymu.

A niemal równocześnie przed prawosławnym archimandrytą broni papieża i księży łacińskich.

Jeden ksiądz Marek stoi na wyżynie kapłańskiej, lecz jakże inaczej wygląda owa Arkadya, gdzie „wciska się mnich nakształt dymu albo pary“,

> Pieczenię zawsze nadybie gorącą,
> Spowiada panią, uwodzi służącą.

I nie lepszym jest frater logicus i frater teologicus, albo ojciec Gwardyan Bernardyn, targujący od księcia Radziwiłła beczkę wina na klasztor, a zgoła już groteskowym wydaje się Prowincyał OO. Franciszkanów ze „Złotej czaszki“...

„Bo dewoci i świętoszkowie winni są, że kościół katolicki — ta straszna siła i potężny anioł czynu, nigdy nie ukazał się wolny, ale zawsze w łańcuchu na nogach wlókł się za wypadkami świata“. (Dzieła: tom X. Juliusz Słowacki).

Religijność Słowackiego jest drogą do poznania nieszczęść własnego narodu i do umocnienia go w tem przekonaniu, że poza bytowaniem ziemskiem istnieje nierównie piękniejszy świat uczucia i wyobrażeń.

Mistyka Słowackiego i wiara w Mesyanistyczną Polskę, w metampsychozę i reinkarnacyę, nie zmienia jednakże głębokiego przywiązania Juliusza do kościoła; podobnie jak mistyczne marzenia De Maistra, Gersona lub Pascala nie mogą być uważane za herezyę.

Religijność Słowackiego to rozpacz za straconą wolnością i ból nad własną ziemią.

Cudu trzeba — wielkiego cudu!

A tym cudem dla Słowackiego — Chrystus!

Książka ks. J. Ciemniewskiego jest rzadkiem zjawiskiem krytycznej naszej literatury. Znajomość rzeczy, ukochanie tematu i umiejętność pisania tworzą z niej dzieło wysokiej kulturalnej wartości.

(EK) Franciszek Jaworski: Lwów za Jagiełły. Lwów 1910, str. 134 in 8-vo.

Autor, znany ze swych licznych i cennych przeszłości Lwowa dotyczących badań, podaje nam w niniejszej jubileuszowej, bo w pięćsetną rocznicę Grunwaldu wydanej książce, krótki i przystępnie napisany zarys stosunków lwowskich za czasów Władysława Jagiełły. Materyał niewdzięczny na pozór i suchy, czerpany z drukowanych miejskich ksiąg rachunkowych i aktów grodzkich, stworzył pod umiejętnem i gładkiem piórem autora obraz lśniący różnobarwną mozaiką zdarzeń i faktów, traktujących de publicis i de privatis, tem cenniejszy, że w dotychczasowych badaniach historycznych prawie że nietknięty, a przez to samo i nieznany szerszemu ogółowi.

Jak w kalejdoskopie przesuwa się przed oczyma czytelnika panorama Lwowa XIV. w., otoczonego murami i basztami, z wązkiemi, gęsto zabudowanemi ulicami, zawalonemi całą powodzią bud, kramów i sklepów. Wglądamy z autorem w miejskie księgi, wentylujemy dzieje i nadzieje zacnych i poczciwych, choć przeważnie niemieckich rajców i mieszczan lwiego grodu, usiłujemy przeniknąć tajniki ich gospodarki publicznej i domowej, towarzysząc im prawie do progów śmierci, kiedy to myśl ludzka syta chwały doczesnej o życiu wiecznem rozpamiętywać zaczynała i na zupełną rzeczy pamiątkę hojnie uposażała świątynie, strzegąc zresztą w stosunku z duchownymi skrupulatnie, aby ci owieczki swe paśli tylko a nie strzygli. Trudno nam wchodzić w szczegóły. Doskonałe w całem tego słowa znaczeniu ujęcie i opracowanie tematu zajmie najbardziej nieprzejednanego i do przeszłości Lwowa uprzedzonego czytelnika. Tym w pierwszym rzędzie książkę polecamy, tembardziej, że nie brak w niej kwestyi, które nie myszką ale już wprost i aktualnością trącą.

SILVA RERUM.

NOWY PREZES KOŁA POLSKIEGO dr. Stanisław Łazarski, mało dotąd był znany jako działacz polityczny. Poszło to może stąd, że jest on niewątpliwie gorącym demokratą i człowiekiem głębokiej wiary politycznej. Nie mógł on się pogodzić ani z konserwatywną pseudodemokracyą krakowską, ani z demagogią demokratyczno-narodową; w Kole był „dzikim“, stał samoistnie. Raz tylko w Izbie przemawiał, a przemawiał ostro, nie szczędząc zgoła reakcyi i rządu. To też lękali się „dzikiego“ radykała „oswojeni“ kołowcy i pomijali go przy obsadzaniu posterunków w komisyach. Poseł Łazarski nie rwał się też do nich, milczał i czekał. Doczekał się chwili, gdy się stał koniecznym, gdy ujrzano w nim jedynego człowieka, zdolnego reprezentować we Wiedniu interes nie fakcyjny, ale powszechno-narodowy. Opinia publiczna jednomyślnie, a z żywą satysfakcyą przyjęła ów wybór do wiadomości, widząc w nim pewne zadośćuczynienie moralne za niemoralne i kompromitujące stosunki, jakie panowały dotąd w Kole Polskiem.

Mowa inauguracyjna prezesa Łazarskiego, wygłoszona z temperamentem i siłą w Izbie posłów, uderzyła swym tonem prasę cudzoziemską. Ton był to istotnie nowy, peten godności i samopoczucia narodowego. Dr. Łazarski mówił jako dobry obywatel państwa, nie zaś jako dobre narzędzie każdorazowego rządu. „Zgadzamy się z rządem — powiedział między innemi — że szacunek dla ustawy musi być najwyższem zadaniem rządu. Oczekujemy jednakże, że szacunek ten dla ustaw znajdzie w szczególności wyraz bez ograniczenia na polu prac publicznych“. Wyraźna i dobitna aluzya do ustawy z r. 1901 o budowie dróg wodnych! „Oczekujemy, że rząd nie ograniczy się do samych przyrzeczeń, wymagających często interpretacyi — mówił prezes o sprawie kanałowej — ale że rozpocznie faktyczną akcyę... Nasz kraj oczekuje w tej sprawie ostatecznego i rychłego uwolnienie z klątwy wszelkich niejasności. Odpowiednio od stanowiska rządu w tej poważnej i ważnej kwesty i ułożymy swe stanowisko wobec rządu“. Tu już śmiała krytyka wczorajszych „sukcesów“ wiedeńskich p. Głąbińskiego i niedwuznaczna zapowiedź przejścia w razie dalszych szacherek w sprawie kanałowej — do opozycyi.

Złagodzono tę ostrą zapowiedź zwrotem o tradycyjnem „uchwalaniu państwu tego, co mu się należy“ z wyraźną wzmianką o sile zbrojnej. Tutaj wtrącił poseł Daszyński: „Wtedy bardzo mało zostanie dla dróg wodnych!“ Lecz prezes Łazarski kończy swą myśl: żąda w zamian za „konieczności państwowe“, aby rząd „uznał konieczności ludowe i z całą pieczołowitością je uwzględnił“. Wyliczony długi ich szereg, zastrzeżone dla Koła „prawo wolnej ręki i swobodnego postępowania“. Nie była to zaprawdę mowa przedstawiciela partyi rządowej i wiernopoddańczej! To przemawiał obywatel prawy, czyniący „iunctim między ofiarami na rzecz państwa, a zdobyczami na rzecz narodu“.

Stwierdzamy z radością, że polityka Koła Polskiego wkracza pod nowem kierownictwem na drogi rozumne i godne. Oby wytrwała na nich długo i oby indywidualność nowego prezesa jak najsilniejsze wycisnęła piętno na całokształcie spraw polskich we Wiedniu!

PRZED WYBORAMI DO RADY. Walka wyborcza nadciąga. Tworzą się komitety niezliczone i niesłychane kombinacye sojusznicze, odbywają się niezliczone konwentykle, toczą tajne konszachty na prawo i na lewo, atmosfera intrygi i korupcyi zagęszcza się w mieście. Po staremu, familiarnie spekulują zorganizowane kliki, przezywające się stronnictwami, na skórze wyborców, o zdanie nie zapytywanych zgoła, nie powoływanych do narad nad rzeczą publiczną... Wiece, zgromadzenia, postulaty — zbyteczny kram! I bez tego legitymacyę wyłudzi się, wydrwi lub — kupi.

Klub reformy gospodarki miejskiej wniósł w tę stęchłą atmosferę parafiańszczyzny kołtuńskiej nieco świetego powietrza. Sam mało mając do stracenia — zaledwie sięciu radnych postępowych i ludowych „wychodzi“ obenie z Rady — ale i zasadniczo nie goniąc na fotele radzieckie, jeno pracując nad stworzeniem podstaw do odrodzenia całego życia publicznego we Lwowie, pierwszy wszczął akcyę jawną, otwartą, powołał na publiczne zgromadzenia ogół obywateli do narady nad dobrem miasta i poddał się kontroli ogółu. To też przeciw komitetowi reformy zwróciła się zajadłość reakcyi kułtuńskiej: dla walki z nim wynajęto osławionego Brandowskiego, dla walki z nim mobilizuje się szumowiny społeczne, dla walki z nim stwarza się bezczelne kłamstwa o „zdrajcach narodu“ i plakatuje się po ulicach. Bo wiadoma rzecz — kto chce dobra mas, kto chce kultury, światła, kto prowadzi politykę zasad i otwarcie o zasady walczy, tego zawsze u nas okrzyczą jako sojusznika „hajdamaków“ i „syonistów“, jako „socyalistę“ (o zgrozo!) i jako zdrajcę narodu... Szczęściem kłamstwo ma krótkie nogi i nie daleko zajadą na niem najpierwsi „narodowi“ łgarze. Jeno trzeba czujności ze strony prawych obywateli kraju; trzeba, by oceniono należycie, że o wielką stawkę idzie ta gra wyborcza: o przyszłość, rozwój i cześć stolicy kraju.

OŚWIADCZENIA LUDOWCÓW. W Krakowie odbył się zjazd Rady naczelnej Polskiego Stronnictwa Ludowego celem wydania sądu o niezbyt fortunnem dla ludowców przesileniu politycznem i stworzonej przez nie sytuacyi. Powzięto ważne uchwały, stanowiące a) że „dopilnowanie wykonania ustawy kanałowej jest obecnie pierwszym obowiązkiem posłów stronnictwa ludowego“; b) że „zbliżenie i porozumienie z żywiołami demokratycznemi w naszych miastach jest życiową i praktyczną potrzebą“: c że „przed załatwieniem reformy wyborczej już żadna inna sprawa na porządek dzienny obrad sejmowych wejść nie może“.

Oświadczenia powyższe regestrujemy skwapliwie w pamięci; chcemy wierzyć, że są one objawem rekonwalescencyi stronnictwa, ciężko chorego dotąd na atrofię ideowości i myśli politycznej. Jedno brzmi cokolwiek złowróżbnie: owa pozostawiona obu klubom poselskim PSL. „wolna ręka“. Nauczyliśmy się utożsamiać politykę tych klubów z „rządami osobistemi“ Stapińskiego. W jego zaś wyzdrowienie uwierzyć jest cokolwiek trudno.

(D) WACŁAW NAŁKOWSKI znakomity geograf zmarł w Warszawie, przeżywszy lat 58. Był to człowiek nietylko wielkiej nauki, ale niezłomnego, obcego wszelkim kompromisom charakteru; stał do zgonu przy sztandarze postępu, który traci w nim jednego z najdzielniejszych bojowników.

(GD) MIECZYSŁAW BRZEZIŃSKI zmarł dnia 25-go stycznia w Warszawie. Był to niestrudzony pracownik na niwie ludowej, znakomity popularyzator, autor szeregu prac niespożytej wartości, na których się kształciły i kształcić będą szeregi pokoleń.

Pisarz (jak siebie nazywał) „Zorzy“, postać niezwykłego osobistego uroku, był szeroko znany polskiemu ludowi, z którym żył, dzieląc z nim jego troski, rozsiewając w około światło i szlachetne pierwiastki swej miłującej gorąco Ojczyznę duszy.

Od polityki stronił wogóle a choć w czasach ogólnego wrzenia dał się porwać wrogiemu nam stronnictwu, był to przeciwnik uczciwy i godny szacunku, którego witało się z radością, a żegnało z żalem.

Nad dostojną trumną tego wysoce zasłużonego obywatela kraju schylamy się ze smutkiem i z czcią.

(G) POMNIK SŁOWACKIEGO WE LWOWIE. O słabem zainteresowaniu się tą sprawą świadczy szczupła bo zaledwie 25.503 korony wynosząca kwota zebrana w ciągu kilku lat na ten cel, oraz nieliczne, pomimo wielu rozesłanych zaproszeń, zebranie, które się odbyło w sobotę w wielkiej sali ratuszowej. Obrady zagaił prof. Kallenbach i po złożeniu sprawozdania z dotychczasowej działalności komitetu jubileuszowego zaproponował wybór nowego komitetu obywatelskiego budowy pomnika. Do prezydyum powołano prof. Kallenbacha jako prezesa, jako zastępców pp. Rawitę-Gawrońskiego i prof. Kasprowicza, na sekretarza dra Hahna, na zastępcę prof. Ćwika, na skarbnika r. Wojciecha Biechońskiego, na zastępcę Stefana Kossaka

Następnie na propozycyę komisyi-matki w skład komitetu weszli pp. A. Aleksandrowiczówna, Henryka hr. Badeniowa, prof. Chlamtaczowa, prof. Makarewiczowa, red. G. Daniłowski, r. Dworski, prof. Dembiński, red. Z. Was lewski, prof. Finkiel, prof. Gubrynowicz, red. Fryling, dr. Janik, red. Riedl, Jan Gwalbert Pawlikowski, Bolesław Lewicki, red. Krechowiecki, dr. Maryan Kukiel, oraz prezesi Koła literacko-artystycznego, Czytelni Akademickiej i Życia.

Komitet ma na najbliższem posiedzeniu obmyśleć projekt działania jak najrychlejszego doprowadzenia sprawy budowy pomnika do pożądanego rezultatu.

(G) SZOPKA KRAKOWSKA. Rozsuwa się kretonowa kurtyna zwykłej naszej szopki na drobnej widowni ukazują się znane galicyjskie osobistości w postaci pysznie wykonych przez pp. Kuntzeka, Szczepkowskiego i Puszeta kukiełek, uderzająco podobnych do swych pierwowzorów nietylko z rysów, ale z ruchów, mimiki i pozy, i do złudzenia imitujący ich głos i sposób wyrażania się. P. Trzciński śpiewa tekst Boy'a i Noskowskiego.

Spadają odświętne maski naszych powag, w blaskach ciętego dowcipu, w wybuchach nieporównanego humoru ukazuje się istotne nieco tylko skarykaturowane tło spraw i ludzi.

Kaskady szczerego śmiechu towarzyszą tym wysoce artystycznym produkcyom. Chwilami jednak w tym śmiechu połyka się drobne ziarnko goryczy. że tyle i tylu wprost naprasza się do takiej szopki, że życie nasze nastręcza tak wiele materyału na kukiełki, że trwające około trzech godzin widowisko nie było w stanie części nawet wszystkiego wyczerpać.

Zimermann ze swoją babą, kanały, Rydzyna, wybory, reforma, dzień niemal każdy dostarcza nowy temat wprost domagający się świetnej piosenki Boy'a, figurki Kuntzeka, to też końcowe słowa przedstawienia „a wy się niezmieniajcie, materyału dostarczajcie“... były szyderstwem zbytecznem.

(G) NIE POTRAFIĄ... Przy odpowiedzi p. Irzykowskiego z powodu jego dostojnych bzików dostrzeżonych przez „Życie“, znalazł się przypisek redakcyi: „Odpowiedź niniejszą oddano do druku, zanim ukazała się w zeszycie IV. br. „Życia“ notatka stwierdzająca niewłaściwość tych napaści“. Jest to wierutny i świadomy fałsz. Zgadzając się zasadniczo na odprawy dawane niefortunnym występom „Widnokręgów“, wyraziliśmy jedynie zdanie, że przytyki do pochodzenia są niestosowne, oraz nadzieje, że to stanowisko nasze potrafią ocenić ludzie kierujący się godnością, a nie nizką ambicyą. Pan Irzykowski i ret dakcya „Widnokręgów“ jak się okazuje nie potrafią...

Książki nadesłane.

Książnica naukowa i artystyczna: Prof. Robert Saitschick, Ludzie i sztuka odrodzenia włoskiego, Kraków-Warszawa 1911, str. 309. — Prof. E. Westermarck, Dzieje pojęć o moralności seksualnej, Kraków 1911, str. 268. — Henryk Bergson, Wstęp do metafizyki, Kraków 1910, str. 104.

Biblioteka Macierzy Polskiej Nr. 57: O Zygmuncie Krasińskim, napisał dr. Konstanty Wojciechowski, Lwów 1911, str. 125, cena 70 hal. — Nr. 58: Astronomia popularna, napisał dr. M. Ernst, profesor uniwersytetu lwowskiego, Lwów 1911, str. 185, cena 1 K 20 h.

Wacław Makowski: Zbrodnie, kary i sądy wyjątkowe, Warszawa 1911 nakł. „Społeczeństwa“, str. 181. — Konstancya Skirmunt: Mindog, Król Litwy. Warszawa 1909, str. 190. — Adam Stodor: Rzecz o „Róży“ Józefa Katerli. Garść uwag. Tarnopol 1911, str. 19. — Dr. Mieczysław Treter: Typy ludowe Franciszka Tepy. Lwów 1911, str. 24. — Wiktor Kuźniar: Z przyrody Tatr. Z 11 rycinami w tekście i 16 tablicami. Kraków 1910 str. 105. (Wyd. Popularna biblioteka przyrodnicza pod redakcyą prof. Ludwika Brunera). — Antoni Lange: O sprzecznościach sprawy żydowskiej. Warszawa 1911, str. 77.

„Książnica literacka. Warszawa 1911. 1. Adam Mickiewicz: „Pod Stoczkiem“. Z słowem wstępnem W. Gomulickiego. 2. Andrzej Niemojewski: Płanetnik. Nowela. 3. Zofia Rygier-Nałkowska: Noc podniebna. Nowela. Tomik 20 kop.

Franciszek Młot: Worek Judaszów czyli rzecz o klerykaliźmie. Kraków 1911. Wyd. III, z licznemi ilustacyami. Str. 131. Tytus Filipowicz: Zagadnienia postępu. Kraków 1911. „Książka“ Str. XII. i 210. — Marcelina Kulikowska: Barwy duszy (Poezye). Kraków. „Książka“. Str. 180. — Boy: Gdy się człowiek robi starszy. Wierszyków porcya czwarta. Warszawa 1911.

Szan. przedpłacicielom, którzy dotąd zalegają z prenumeratą za kwartał bieżący, przypominamy, że termin odnowienia jej minął, ustalenie zaś liczby stałych odbiorców konieczne jest dla uregulowania nakładu.

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru **40 hal.**

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal.** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12—1.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.

Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.

Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.